



SEMPER FIDELIS

PL ISSN 0866-9414

MARZEC - KWIECIEŃ
1997

2 (37) 1997

PISMO TOWARZYSTWA MIŁOŚNIKÓW LWOWA I KRESÓW POŁUDNIOWO—WSCHODNICH • WROCŁAW



Uroczystość odnowienia po 50 latach Dyplomu Doktorskiego prof. dr hab. med. Marianowi Garlickiemu, w dniu 7.III.1997r. w Auli Leopoldyńskiej Uniwersytetu Wrocławskiego.

Stoją od lewej: promotor - prof. dr hab. Andrzej Wall, doktorant - prof. dr hab. med. Marian Garlicki i prezes TML i KPW dr Andrzej Kamiński.

ANDRZEJ KAMIŃSKI	
Prof. dr hab. Marian Garlicki. Odnowienie dyplomu doktora medycyny po 50 latach	1
JERZY MASIOR	
Pamiętanie, ale jakie. Staw i okolice	2
DANUTA NESPIAK	
Jeżeli rachunki — to całościowe	4
BRONISŁAW STOJANOWSKI	
List do prezydenta RP	4
TADEUSZ M. TRAJDOS	
Bez kary, bez zadośćuczynienia	5
DANUTA NESPIAK, ZDZISŁAW OJRZYŃSKI	
Krzywa waga Temidy	7
EUGENIUSZ TUZÓW-LUBAŃSKI	
Żyć, aby zabijać	11
KS. JÓZEF WOLCZAŃSKI	
Na ratunek Cmentarzowi Łyczakowskiemu	12
TOMASZ CIESZYŃSKI	
O profesorze J. Parnasie na tle Lwowa z lat 1939-1945	14
ZBIGNIEW NOWAK	
Szkoła Szeregowych Policji Państwowej w Mostach Wielkich.	21
ZOFIA WACEK-IWANICKA	
Pedagog, sportowiec i dziennikarz — prof. Rudolf Wacek	24
M. ROGALSKI	
Kościół pw. Najświętszej Marii Panny w Buczaczu	26
JAROSŁAW LESZCZYŃSKI	
Kościół w Podhorcach	27
Ludzie lwowskiej AK	28
JANINA HRYCEKOWA	
Kresowi kapłani. Ks. Piotr Stanoszek	29
KAZIMIERZ WESOŁOWSKI	
Patron Lwowa	30
LESZEK MULKA	
Klub TML i KPW w Oleśnicy	31
ADAM LEWICKI	
Sprawiedliwości stało się zadość	31
ZBIGNIEW UMAŃSKI	
Notatnik kresowy. Wczoraj, dziś, jutro	32
Zjazd Sprawozdawczo-Wyborczy Federacji Organizacji Kresowych	36
Listy do redakcji	37
Apele	38
Poszukiwania	40
Z żałobnej karty	40

Redaguje Kolegium w składzie: Wiesława JELEŃSKA-HOMBEK, Andrzej KAMIŃSKI, Jerzy KOPACZ, Danuta NESPIAK, Zdzisław OJRZYŃSKI, Jerzy PETRYŃSKI, Danuta SŁIWINSKA, Danuta TABIŃSKA-JUHASZ, Zbigniew UMAŃSKI

Redakcja: Danuta NESPIAK (red. naczelny), Jerzy PETRYŃSKI

Redakcja techniczna: Romuald LAZAROWICZ

Adres Redakcji: Zarząd Główny Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, 50-079 Wrocław, ul. Rуска 32/33 I p., skr. poczt. 1042 Wrocław 3, tel. 44-88-93

Wydawca: Fundacja Kresowa „SEMPER FIDELIS”: Jan AKIELASZEK, Wiesława JELEŃSKA-HOMBEK, Andrzej KAMIŃSKI, Danuta NESPIAK, Zdzisław OJRZYŃSKI, Karol STANIUK, Jan ZIEMBICKI

Konto Fundacji „Semper Fidelis”: PKO BP IV O. Wrocław Nr 10205255-10012-270-1-111

Prezes Fundacji: mgr Danuta TABIŃSKA-JUHASZ

Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca. Autorów piszących na komputerze prosimy o nadsyłanie dyskietek. W publikowanych tekstach zastrzegamy sobie prawo dokonywania skrótów, zmian tytułów oraz poprawek stylistyczno-językowych.

Zatwierdzono do druku: 11 kwietnia 1997 r.

Andrzej Kamiński

Prof. dr hab. Marian Garlicki

Odnowienie dyplomu doktora medycyny po 50 latach

W dniu 7 marca 1997 roku w Auli Leopoldyńskiej Uniwersytetu Wrocławskiego odbyła się uroczystość odnowienia Dyplomu Doktorskiego po 50 latach Prof. Marianowi Garlickiemu, Doktorowi Honoris Causa Wojskowej Akademii Medycznej w Łodzi oraz Śląskiej Akademii Medycznej w Katowicach.

Prof. dr hab. Marian Garlicki urodził się 8 grudnia 1908 roku w Drohobyczu. Dzieciństwo i pierwsze lata nauki spędził Jubilat w rodzinnym mieście, a następnie rozpoczął naukę w gimnazjum o.o. Jezuitów w Bąkowie pod Chyrowem. Po 8-letnim pobycie pod opieką o.o. Jezuitów i zdaniu matury rozpoczął dalszą edukację na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie.

10.08.35 r. w Katedrze lwowskiej zawarł ślub z Iwonią Stanisławą Goetz.

Po zakończeniu służby wojskowej rozpoczął pracę lekarską w Szpitalu Ubezpieczalni Społecznej we Lwowie, odbywając początkowo staż podyplomowy, a następnie rozpoczął specjalizację chirurgiczną pod kierunkiem doc. dr. Adama Grucy, z którym związał całe aktywne życie lekarskie.

30.08.39 r. został zmobilizowany i otrzymał przydział do Szpitala Wojennego 604. Po 3-tygodniowej służbie czynnej w charakterze chirurga w tym samym szpitalu, został zwolniony i powrócił do przedwojennego miejsca pracy w szpitalu św. Zofii. Do czerwca 1941 r. pracował w szpitalu pod administracją sowiecką, a następnie do 1944 r. pod okupacją niemiecką. W październiku 1943 r., po wyjeździe ze Lwowa prof. Grucy, został powołany na stanowisko Ordynatora Oddziału Szpitala św. Zofii, który stał się szpitalem wojskowym, gdzie operowano i opatrywano żołnierzy Armii Krajowej. 10.11.1944 r. prof. Marian Garlicki opuścił Lwów (niestety na zawsze) i udał się do Lublina do Szpitala Ewakuacyjnego Polowego nr 63. Wkrótce został przeniesiony do Poznania, a następnie po kilku miesiącach do Warszawy, gdzie organizował się szpital MON, a kierownictwo Oddziału Chirurgicznego zostało powierzone Jubilatowi.

15.02.1947 r. lekarz med. Marian Garlicki przeprowadził przewód doktorski na Wydziale Lekarskim Uniwersytetu Wrocławskiego, a promotorem pracy był prof. dr hab. Wiktor Bross.

W 1952 r. Profesor przeniósł się na Górny Śląsk, gdzie zorganizował w Bytomiu Klinikę Ortopedyczną, a wkrótce został Rek-

torem Śląskiej Akademii Medycznej i funkcję tę pełnił przez kilka kadencji. W lipcu 1957 r. został powołany do czynnej służby wojskowej i podjął pracę w szpitalu MON w Warszawie. Jednocześnie został mianowany Naczelnym Chirurgiem Wojska Polskiego i Ordynatorem Oddziału Ortopedyczno-Traumatologicznego Szpitala MON.

W związku z organizacją Wojskowej Akademii Medycznej w Łodzi w 1957 r. Profesor objął funkcję Komendanta tej Uczelni. 7.10.1958 r. został promowany na stopień Generała Brygady.

Gdy w 1965 roku przeszedł na emeryturę kierownik Ortopedii w Warszawie prof. dr hab. Adam Gruca, wtedy prof. Garlicki został zwolniony z czynnej służby wojskowej i objął kierownictwo tejże Katedry i Kliniki Ortopedii AM w Warszawie. Równocześnie został powołany na stanowisko Przewodniczącego Nadzoru Krajowego w zakresie Ortopedii i Traumatologii.

Lata 1966-1979 stanowią ostatni i jednocześnie najstabilniejszy okres pracy zawodowej Profesora. Życie upływało Mu na zajęciach dydaktycznych, pracy naukowej, a przede wszystkim usługowej, która dawała Mu duże zadowolenie zawodowe i osobiste.

W 1978 roku Rada naukowa Wojskowej Akademii Medycznej w Łodzi nadała Profesorowi godność Doktora Honoris Causa.

Wśród licznych nagród i odznaczeń największą satysfakcję Profesorowi sprawiły: Medal za „Udział w Wojnie Obronnej 1939 r.” i Krzyż Partyzancki. Natomiast za osiągnięcia



50-lecie doktoratu prof. dr hab. Mariana Garlickiego. W drugim rzędzie siedzą — od lewej: prof. dr hab. Kazimierz Jabłoński, prof. dr hab. Bolesław Popielski, dr Andrzej Kamiński (wszyscy lwowianie).

niecia na polu organizacyjnym i naukowym Jubilat zotal odznaczony Krzyżem Komandorskim, Krzyżem Oficerskim i Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, Orderem Sztandaru I i II klasy, Medalem Komisji Edukacji Narodowej, Medalem Gloria Medicinæ i Orderem „Medicus Magnus”.

W 1979 r. Profesor Garlicki przeszedł na zasłużoną emeryturę.

Pozwalam sobie zacytować końcowy fragment autobiografii Prof. Mariana Garlickiego wydanej w 1996 r.:

„(...) W długim i ciekawym życiu przeżyłem I wojnę światową jako dziecko i byłem świadkiem dwóch potęg światowych: Rosji carskiej i Cesarstwa Austro-Węgierskiego. Jako 10-letni chłopiec przeżywałem, po przeszło 120-letniej niewoli, odrodzenie się niepodległej Rzeczypospolitej i jako dorosły mężczyzna byłem wstrząśnięty jej upadkiem w 1939 roku. Byłem świadkiem cierpień ludzkich, spowodowanych działaniami wojennymi i walkami bratobójczymi, często okrutnymi, polsko-ukraińskimi, przeżyłem dwie okupacje, w czasie których zdeptano godność ludzką i wymordowano wielomilionowe rzesze niewinnych ludzi nie szczędząc kobiet i dzieci. W okresie powojennym w wyniku układu w Jaltie, zmuszony byłem opuścić wraz z rodziną strony rodzinne i przeżyć opisaną wędrówkę życiową. Doczekałem się rozpadu komunizmu nie tylko w krajach wspólnoty, ale również upadku ideologii bez-

względnej władzy w potężnym Związku Radzieckim oraz powstania raczkującej, z zakodowanymi przyzwyczajeniami 45-letnim wasalstwem w ramach Paktu Warszawskiego — demokracji w Polsce. Jak na jedno życie, to zbyt dużo. Chińskie przysłowie „Abyś żył w ciekawych czasach” było dla mnie i wielu moich rodaków raczej nieciekawie i wolalbym zapoznać się nim z książek historycznych. Pomimo tego, że ze mną i najbliższą rodziną los w tak strasznych czasach obszedł się łaskawie, z niepokojem spoglądam w przyszłość, w której przyjdzie żyć moim dzieciom i wnukom. Obserwując zawiedzione nadzieje większości społeczeństwa, klótnie i swary międzypartyjne, walki o stolki ministerialne, a także o „rząd dusz”, zadają sobie retoryczne pytanie: Czy ludzie niczego się w tym stuleciu nie nauczyli? Czy nie widzą lub nie chcą widzieć zła, które wokół się szerzy? Czy wreszcie zginęło słowo „przyswoitość”? Takie pytania mógłbym mnożyć w nieskończoność. Niestety, jestem przekonany, że nie otrzymam na nie jednoznacznie brzmiącej odpowiedzi”.

W imieniu własnym i Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich pragnę Panu Profesorowi życzyć dużo zdrowia, tej pogody ducha i spokoju prezentowanego przez Pana Profesora i samych radosnych i pogodnych dni, czego „Daj Boże zdrowi”.

Pamiętanie, ale jakie.

Jerzy Masior

Staw i okolice

Są takie miejsca we Lwowie, do których pamięć wraca uparcie. I okazuje się, że jeszcze coś tam pozostawiłem, o czym moi cierpliwi Czytelnicy nie wiedzą. Okazuje się, po iluś dziesiątkach lat przypominam sobie, że właśnie tam i tylko tam działały się rzeczy ważne, niepowtarzalne, które miały albo nie miały ciągu dalszego, które nic nie znaczyły, a teraz znaczą nazbyt wiele, których nie doceniałem w przemijaniu tamtego czasu, bo były jak ziarenka piasku, niezauważalne i banalne. A teraz ta banalność ich układu się w nadzwyczajność, w obraz Miasta, którego najmniejsze grudki materii i zefirki ducha spłotły się w pajęczynę łowiącą myśli jak ćmy wylaniające się z mroków nocy, rozpędzone do światła. Nachodzą mnie wspomnienia nieoczekiwane i doprawdy bywam nimi niekiedy wręcz zdumiony: skąd się wzięły, jak potrafiły taki szmat czasu pozostawać w niebycie pamięci, a dziś stają się nieomal dotykalne, zadziwiająco dosłownością, bogactwem szczegółów. Powracają obrazy, powracają ludzie, ich kolor oczu, imiona, moje z nimi przyjaźnie lub animozje. Cały ten byt wpisuje się w mój lwowski świat. Muszę go utrzymywać, bo może ulecieć. A przecież jest potrzebny nie tylko mnie. Nam wszystkim, którzyśmy stamtąd. Nie było by piaskowni na Kajzerwaldzie i wszystkich piaskowni świata, gdyby nie ziarenka piasku w tryliony pomnożone...

Spacerując Parkiem Łyczakowskim były zawsze zanurzeniem się w światła i cienie: wszelkiej zieleni wiosną, latem, jesienią — wszelkich błękitów i bieli zimą. Były zachętą do dalszego

wędrowania doliną Jałowca, tuż za koszarami 14, czyli żółtych Ulanów Jazłowieckich. Dolinka początkowo przetykana sadami, skąpo zadrzewiona, w określonym miejscu kryła się w ostępach olszynowo-bukowego i jeszcze jakiegoś tam lasu: gęstniała miętami, lopianem i maliniakiem poprzez który ciekła niewielka strużka, tak, że ścieżka, która wiała się równolegle do strumienia w najbardziej upalne lato była także aleją chłodu i cienia. Wiosną złościły się tu pasma kaczęńców i bujały sycone wilgocią obłoczki niezapominajek. Podcięty — skalisto-gliniasty lewy brzeg strumienia to maliniak, którego owoce zbierane do tulejek naprędce i sprytnie skróconych z lopianu były lupem spacerów w tamtą stronę. Broniły tego maliniaka liczne tutaj zmięje, z lubością wygrzewające się na słońcu. Strzegły nie tylko malin, ale i gęsto rosnących na tym dość jałowym stoku poziomek. Do lopianowych kielichów wędrowały te rubiny lata, by zanieść wszystko co najlepsze: słodycz i aromat, ich aksamitno-lopianową przychylność. Mimo, że te spacerowały się już w czasie okupacji przez „pierwszych bolszewików”, mimo ołowianego ciężaru dni, które nastały, odnajdywaliśmy z Alą w tamtej dolince przedziwną harmonię (dziś dopiero to wiem) czasu, światła, uczuć, nadziei... Byliśmy parą uczniów z byłego wówczas „Nazaretu”, która intuicyjnie poszukiwała ucieczki od jakże przytłaczającej rzeczywistości owych lat w szkole, na ulicy, niemal wszędzie...

Z obu stron doliny piętrzyły się niewysokie wzgórza, lesiste, zmieniające swoje „upierzenie” w zależności od pory roku. Wiosną w rdzawych pączkowaniach i nieśmiałych seledynach, z zatopionymi pośród nich tu i ówdzie szafirem sosny, czy jodły. O dziwo — zdarzały się także kwitnące różowo magnolie, co przydawało temu podlowskiemu uroczysku egzotyki. Szukaliśmy tych magnolii wiosną. Tam bywały nasze przystanki zadumy. Uczuć chyba także... Do dziś kwitnąca magnolia jest

dla mnie drzewem szczególnym. Powraca obłok leśny z dolinki za Jאלowcem, zaskoczenie biało-różowego kwitnienia w zaledwie budzącej się strzępiastej zieleni. Zaskoczenie tym większe, bo kwiaty południa odnajdywały się w podlowskim, zwykłym lesie, na zalegających ku wschodowi pagórkach Roztocza, a nie na południowych zboczach Alp, czy Dolomitów. Ale czyż takich zaskakujących znalezisk nie było w tamtym świecie więcej? Nie szukajmy daleko: sam Lwów. Przecież to miasto nawet w swojej dzisiejszej, u schyłku wieku nie najlepszej formie, zaskakuje jakże różniącym się od wschodniej barbarii obliczem. Kształty piękna murowanego, malowanego, zapisanego, formowały się od wieków w Europie łacińskiej. Musiały to być siły kulturowe zniewalające, magnetyczne, skoro nie ogniem i mieczem, jako Tatarowie od Wschodu, zasiewały ziarna swoich umiejętności i struktur, by wzrastać drzewami bogactwa myśli i jej przetwarzaniu w kształty przyjazne ludziom i ich otoczeniu. Lwów jest miastem, gdzie to, co napisałem ustaliło się w tym, co zazwyczaj trwa najdłużej: w architekturze, w układzie miasta, w jego położeniu. Jeżeli kwitnąca magnolia w lesie jest zaskoczeniem, to czyż nie jest do dziś zaskoczeniem ów wenecjański lewek „Pax tibi Marce...” nad bramą kamienicy Massarich w Rynku pod nr 14? I pomnożenie zaskoczenia przed Boimami, przed kamiennym oczarowaniem fasady Bernardynów, albo ukrytą w mroku kaplicą Trzech Króli. Mógłbym mnożyć zaskoczenia — oczarowania, ale przecież nie o to chodzi tym razem. Chcę tylko uzmysłowić moim Czytelnikom, nierazko bardziej rodowitym lwowianom niż ja, przybysz znad chodorowskiego ługu coś, co z perspektywy czasu jest bardziej wyraziste, jest najbardziej ważne: żyliśmy w miejscu szczególnym, w miejscu tak bardzo nasączonym kulturą Europy, że jako jego tubylcy nigdy wtedy i później nie mieliśmy kłopotów w poruszaniu się po niej. Ba, stawaliśmy się niejednokrotnie dzięki tamtemu południowo-wschodniemu *genius loci* — lepsi, mądrzejsi, bardziej zapobiegliwi i wytrwali. Są tego liczne przykłady w przedwojennej i powojennej Europie. Tylko, że „mało nas i ciężko nam”, jak wyśpiewywał J. Michotek. Stało się, że na innym, niż lwowskim podglebiu i my stajemy się inni. A już nasze dzieci, nasze wnuki... Szkoda gadać.

Wracajmy jednak na ścieżynę, która wraz ze strumieniem wije się zmierzając cieniastym wąwozem ku wyniosłościom i lasom Czartowskiej Skały. Strumień znika w pobliżu niewielkich oczek wodnych, z których jedno, od nazwiska właściciela bodajże, zwano stawem Raucha. Nieobce mi były wprowadzić inne lwowskie „akweny”: Kisielki, Pohulanka, Żelazna Woda i stawy Stryjskiego Parku, a także ulubione glinianki na Kajzerwaldzie. Staw pełen nenufarów na Cetnerówce bywał przystankiem przedwieczornych spacerów — najczęściej we dwoje, po majówkach u Zmartwychwstańców. Jednakże nigdzie tam nie było wehikułu wodnego, czyli łódki, która już sama w sobie bywała magnesem wyprawy w tamtym kierunku. Ta łódka — już wówczas zmuszała konstrukcja, butwiejąca od lat w gęstej glonami i wszelaką roślinnością, trwała sennie przy brzegu stawu. Wody wewnątrz łódki nie brakowało, ale cóż to znaczyło wobec nieposkromionej chęci żeglugi. Staw nasączony ciepłem letnich miesięcy groził w najgorszym wypadku ciepłą kąpielą i kontaktem z licznymi tu żabami, traszkami, zaskroncami, z wszelką wodną żywą drobnicą i mulem. Wynurzał się z leśno-krzewiastej gęstwiny jak zjawą, jak zaczarowane oczko wodne, kulminacja podmiejskiego lata. Tuż nad nim biegła tłuczniowa, pylista droga do Winnik. Za tą drogą były tory kolejowe na których wygrzewały się ospałe, wielgachne salamandry. Już

nigdy potem nie widziałem ich tyłu i tak dorodnych w jednym miejscu. Staw wyciekał przez groblę w kierunku Winnik, docierając podmokłymi łąkami w okolicę również upiększoną stawami zwanymi Lipskiego. Przez groblę staw przeciskał się przepustem, regulującym w czasach jego świetności przepływ na koło młyńskie. Młyn, a właściwie jego pozostałości, przylegał do grobli: był to niski, nakryty ciemną czapą spadzistego dachu budynek, wówczas jeszcze zamieszkały. I choć nie spełniał swojej funkcji, to staw żył. Dla mnie dzięki obecności owej opisaną wyżej łódki. Zatrzymywaliśmy się zawsze na nim w naszych wędrówkach ku Czartowskiej Skałe. Wydłużałem te posady, bo od lat najmłodszych ciągnęło mnie do wody, do wszelkiej na niej aktywności. Może właśnie dlatego do dziś jeszcze uprawiam żeglarstwo. Nie ukrywam wszakże, że wówczas desperacja żeglugi na tonącej łódce, owe „smugi cienia” na szafirowym stawie, w nagrzaną letnią słońcem południe, były też troszeczkę okazywaniem mojej towarzysze nawigacyjnej odwagi. Nie było w tym nic nadzwyczajnego: przed laty kruszyły się z tych samych pobudek rycerskie kopie, szczyrbiliły szable, a ja... tonąłem na środku stawu Raucha. Na szczęście nabyłem umiejętności pływackich wcześniej, na kąpielisku Zamartynowa.

W pierwszych latach okupacji nasze wycieczki były bezpieczne. Na cienieściej ścieżce niemal nikogo nie spotykaliśmy. Szosą do Winnik rzadko przemyczał się jakiś pojazd i jeszcze rzadziej kursowały pociągi. Wszystko to razem tworzyło świat zastany, cichy, oddalony od wojny, okupacyjnego życia, jego uciążliwości i niekiedy grozy. Wkraczając w ten wodno-leśny krajobraz świadomie i nieświadomie uciekało się od tzw. rzeczywistości. To była ucieczka w czas bardzo nieodległy i bardzo przychylny nam, młodym, którym przecież szumiało w lepetynach od rana do wieczora. Gdzieś tu słychać było jeszcze echa skautowej pieśni, jeszcze nie rozwiał się do końca dym ogniska, a tak naprawdę to tylko po dawnemu zakwitały kaczęce i owe samotne drzewa magnolii za Jאלowcem. Zdaje sobie sprawę, że ja ten świat w mojej pisaninie dziś i kiedy indziej przedstawiam „niepokalanie”, że dodaję mu barw przyozdabiam w widzenie nieomal sennie. Wybaczcie, to upływ lat. To cudowne sito pamięci, które bardzo łapczywie zatrzymuje co piękne i dobre. Byłby to może niejaki dowód, że i my składamy się z większej ilości dobra niż zła. Gąbka ma to do siebie, że nasiąka gorliwie wodą. My nasiąkamy dobrem, nasiąkamy bez wiedzy i woli obrazami o barwach intensywnych i ciepłych. Kolory chłodne, ciemne, jak noc, która zawsze instynktownie napawa nas lękiem. Bywa i tak, że pamięć jest ucieczką. To dość oczywista prawda. Uciekamy przede wszystkim od tego, czegośmy nie chcieli, a jest: czegośmy nie tworzyli, a to są nasze ograniczenia wolności, ograniczenia bycia sobą i ze sobą. To moje okupacyjne ucieczki nad strumień, w cień, były może dlatego tak ważne, bo nadszedł wówczas czas, gdy bardzo nie chciałem być sam. We wrześniu, pośród rozkwitu mojej dojrzewającej świadomości zawałił się świat i trzeba było żyć na jego gruzach. Wszyscyśmy wtedy próbowali żyć złudzeniami, które brutalnie nam zabierano. Potrzebne były wzajemne zapewnienia, nawet okłamywania, chwytanie się deski ratunkowej, którą wówczas była tylko nadzieja. Ta nadzieja stawiała się bogatsza, gdy można ją było brać od kogoś, komu chciało się wierzyć, bo tak dyktowało uczucie. Nadziei z roku na rok ubywało, ale przecież do końca nigdy jej człowiekowi zabrać nie można, o ile sam tego nie chce. A myśmy bardzo nie chcieli. Już niezadługo przyszedł czas, gdy do nadziei dołączyło się

działanie. Ono scalało nadzieję w potęgującą się potrzebą służby. Powracała wiara w siłę bycia razem, w zhierarchizowanie celów i metod, w struktury walki, bo ona stała na drodze do celu. I tylko powraca ustawicznie pytanie: ile tam, na Kresach, a już najbardziej we Lwowie, wypaliło się ogni męstwa i ofiary. Jaką moc winniśmy byli wtedy w okupacyjnym mroku kumulować: potęgę umysłu, czy potęgę walki? Nikt nikomu nie dał jeszcze prawa osądzać owych działań do końca. Cały czas brniemy w półprawdach, jakby w historycznej ciszy. Nawet ci, którzy podejmują temat lat okupacji na Wschodzie, wikłają się w ocenach rzadko obiektywnych, widzianych z małej, własnej perspektywy. Okupacja we Lwowie to nie tylko kilkutygodniowe

zgrupowania i kilkudniowe walki wspierające oddziałów leśnych na Pasiekach i w winnickich lasach. To coś znacznie więcej, to nieomal cały czas wojny, to wywiad i kontrwywiad, to akcje zbrojne przeciwko dwóm, a może i trzem wrogom, to gorączka rozbrojenia, ból opuszczenia, tragiczna jałtańska rzeczywistość, która jak przez najgęstsze zasieki z drutu kolczastego docierała wówczas do naszych serc i umysłów. Z trudem niebywałym.

Tego lata, 1944 roku nie byłem nad stawem Raucha. Nie było tam już spokojnie i wędrowanie nad strumieniem można było przypłacić życiem. Tam stał się inny świat. Trwa do dziś.

Nowy Sącz, w marcu 1997

Danuta Nespiak

Jeżeli rachunki — to całościowe

W dniach 4-5 IV br. obradował w Warszawie Kongres Ukraińców zwołany w 50. rocznicę operacji „Wisła”. W „Posłaniu” Kongresu Ukraińcy zaapelowali do władz RP o moralną i materialną likwidację skutków tej operacji. Nie padło w nim ani jedno słowo przepraszy za ludobójstwo UPA na Wołyniu i bylej Małopolsce Wschodniej poza ogólnikowym stwierdzeniem, że „W sposób szczególny odczuwamy ból tych Polaków, którzy ucierpieli z rąk ukraińskich. Czcimy pamięć poległych, a rodzinom tych, którzy doznali niesprawiedliwości, wyrażamy głębokie współczucie i ludzką solidarność.”

Prezydent i premier RP poparli pomysł postawienia pomnika upamiętniającego ukraińskich więźniów obozu w Jaworznie i jak doniosła „Rzeczpospolita” mają wziąć udział w jego odsłonięciu (zob. artykuł w tym dzienniku A. Kaczyńskiego „Posłanie pojednania i przebaczenia” z 7 IV br.).

Kongres miał w swojej wymowie charakter roszczeniowy, nie skorzystano z okazji by podjąć próbę bilansu całego dramatu konfliktu polsko-ukraińskiego z czasów II wojny światowej i po jej zakończeniu. Zabrakło odwagi czy uczciwości? W tym kontekście deklaracja Ukraińców w „Posłaniu” — „przebaczamy i prosimy o przebaczenie” — narzuca odpowiedź, że Polacy mają wybaczyć Ukraińcom nie zdefiniowane bliżej jakieś cierpienia i niesprawiedliwości, które od nich doznali. Jest to dosyć przewrotna konstrukcja słowna, uciekająca od nazwania prawdy po imieniu. Cierpieć można np. z powodu głodu, chłodu, deportacji, zaboru mienia, niesprawiedliwości jaką niosą oszczerstwa i pomówienia a tu przecież chodzi o masowe zbrodnie na tysiącach Polaków.

Przebaczenia wymaga nasza wiara katolicka, którą wspólnie w różnych obrządkach wyznajemy — Polacy i Ukraińcy. Nie należy jednak wyolbrzymiać winy jednej strony, eksponując i nazywając fakt po imieniu tj. operację „Wisła” a w stosunku do własnej winy, mającej wszelkie cechy ludobójstwa (bo nie można dzisiaj wyprzeć się rzezi na Wołyniu i w Małopolsce Wsch.) sprawę skwitować enigmatycznie jako cierpienie, ból niesprawiedliwości. W „Posłaniu” jest również mowa o uczczeniu pamięci poległych. Słusznie — polegli też byli. Były polskie Samoobrony, walczyła z UPA 27. Wołyńska Dywizja AK, ale byli przede wszystkim zamordowani, bo dzieci, kobiety i starcy nie prowadzili walki, a tylko w walce bywają polegli.

Kiedy wreszcie będzie miał miejsce autentyczny, nie zaklamany, w duchu prawdziwego chrześcijańskiego pojednania dialog polsko-ukraiński?

Nasz Czytelnik p. Bronisław Stojanowski przysłał nam swój list wysłany do Prezydenta RP Aleksandra Kwaśniewskiego z sugestią wykorzystania go na naszych łamach. List ten cytujemy poniżej (adres autora do wiadomości REDAKCJI).

Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej
Pan Aleksander Kwaśniewski

W związku z planowaną wizytą Pana Prezydenta na Ukrainie i przewidywanym pojednaniem z narodem ukraińskim, które to pojednanie popieram, chciałbym zwrócić uwagę na pewne fakty. Uważam, że ww. pojednanie może nastąpić pod warunkiem, że Ukraińcy przepraszają naród polski za popełnione zbrodnie na Polakach przez bandy UPA.

Urodziłem się 4.I.1930 r. w Kobyłowlókach, gm. Mszaniec, pow. Trembowa, woj. tarnopolskie, a więc na Kresach Połud-

niowo-Wschodnich II Rzeczypospolitej, gdzie mieszkalem do 15 lutego 1945 r. Byłem świadkiem tragicznych wydarzeń jakie miały miejsce w miejscowości, w której się urodziłem, a także i w okolicznych miejscowościach. Część tych wydarzeń (od 17 IX 1939 r. do 21 IV 1944 r.) opisał Tadeusz Łomacz w swojej książce pt. „Na wojnie i po wojnie”, wydanej przez MON w 1963 r.

A oto wydarzenia, które zapamiętałem:

Przed świętami Bożego Narodzenia w 1944 r. trzech mężczyzn poszli do lasu po choinki. Byli to: z Kobyłowlók kuzyn księ-

dza parafii rzymsko-katolickiej Józef Przybylski i Stanisław Wnuk oraz Franciszek Dawiskiba z Młynisk. W lesie „bänderowcy” ich napadli i kolejno nago mordowali. Pierwszego zamordowali Józefa Przybylskiego. Ciało jego przykryli gałęziami i szyderczo odśpiewali nasz Hymn Narodowy „Jeszcze Polska nie zginęła”. W następnej kolejności zamordowano w ten sam sposób Stanisława Wnuka, powtarzając tę samą ceremonię. Gdy rozbierał się Franciszek Dawiskiba, nadjechali rosyjscy żołnierze, z którymi „bänderowcy” rozpoczęli walkę. W tym zamieszaniu Franciszek Dawiskiba uciekł. O przebiegu wydarzenia, o torturach zadanych opowiedział i wskazał miejsce, gdzie leżały ciała pomordowanych. Przewiezione zwłoki świadczyły o tym w jakich mękach kończyli życie, drapiąc i gryząc zmarzniętą ziemię.

Pamiętam, że na przełomie grudnia 1944 i stycznia 1945 roku zamordowano Michalinę Stojanowską, której obcięto piersi i powieszono na drzewie.

W tym samym czasie na łóżku zabito kijami Emilię Sobkowicz i uprowadzono z domu Kornela Mazurkiewicza i jego bratową Józefę, po których ślad zaginął.

Z 2 na 3 lutego 1945 r. spalono dom i zabudowania gospodarze Józefy Kowal. Zabito jej nieletnią córeczkę Rysię i krewnego Piotra Jędrysa.

Z 14 na 15 lutego 1945 r. napadnięto i spalono część wsi Kobyłowlaki, zamieszkałej przez Polaków i spalono większą część polskiej wsi Młyniska, graniczącą z Kobyłowlakami. W czasie tego napadu „bänderowcy” zamordowali mieszkańców Kobyłówek Wincentego Duchnickiego, Antoniego Zielonego i jego syna Michała, a z Młynisk Anielę Kowal wraz z córeczką i siostrą Józefą Ciesielską, Jana Sobkowicza, Anielę Galkę i Michała Woźniaka. Pozostałych pomordowanych nie pamiętam.

15 lutego 1945 r. uciekłem z Kobyłówek do Trembowli.

Na Kresach Wschodnich zginęło z rąk band UPA około 500.000 Polaków. Podając powyższe, proszę Pana Prezydenta, by w czasie uzgadniania warunków pojednania, pamiętał o pomordowanych w bestialski sposób kobietach, dzieciach i starcach oraz o wypędzonych z ojcowizn Polakach z Kresów Wschodnich II Rzeczypospolitej.

Z poważaniem

Bronisław Stojanowski

Tadeusz M. Trajdos

Bez kary, bez zadośćuczynienia

Dokumentację poświęconą ludobójstwu, dokonywanemu na Polakach przez zbrojne formacje ukraińskie (głównie UPA) w latach 1939-1947 gromadzą Okręgowe Komisje Badań Zbrodni przeciw Narodowi Polskiemu w Krakowie, Białymstoku, Lublinie i Rzeszowie. Przebieg i rozmiary rzezi ludności polskiej w woj. wołyńskim były przedmiotem licznych publikacji. Szczegółowe kalendarium przedstawili Józef Turowski i Władysław Siemaszko w książce „Zbrodnie nacjonalistów ukraińskich dokonane na ludności polskiej na Wołyniu 1939-1945” (Warszawa 1990). Zdarzały się też publikacje bagatelizujące albo wręcz fałszujące rozliczne dowody tych systematycznie wykonywanych zbrodni.

Ludobójstwo to przecież nie ograniczało się jedynie do obszaru Wołynia. W myśl założeń politycznych inicjatorów (OUN-b) przeprowadzono „czystkę etniczną”, mordując ludność polską bez różnicy płci i wieku na całym terytorium, uznanym za „odwieczną ziemię ukraińską” czyli na terenie województw: stanisławowskiego, tarnopolskiego i lwowskiego, a w latach 1944-1947 we wschodnich rejonach świeżo powołanego województwa rzeszowskiego oraz w województwie lubelskim. Szczegółową dokumentację tych zbrodni prowadzi od niespełna 5 lat czasopismo „Na Rubieży”, wydawane przez Stowarzyszenie Upamiętnienia Ofiar Zbrodni Ukraińskich Nacjonalistów. W poszczególnych zeszytach tego wydawnictwa drukowane są bezcenne relacje świadków z miejscowości, które spotkało opisanie wyniszczenia. Martyrologia przedstawiana jest w kolejności gromadzenia świadectw w poszczególnych powiatach wspomnianych województw. Napływ świeżych relacji wywołuje potrzebę wielokrotnych uzupełnień opisów morderstw i list ofiar. Daleko jeszcze do ich wyczerpania, ale już teraz znajdujemy dowody potwierdzające plan eksterminacji, przeprowadzonej z niebywałym okrucieństwem i bezwzględnością. Trze-

ba nadmienić, że wartościowym fundamentem dla tego materiału było studium ks. bpa Wincentego Urbana „Droga krzyżowa archidiecezji lwowskiej w latach II wojny światowej 1939-1945” (Wrocław 1983). Prezentuje ono listę duchownych katolickich — Polaków, zamordowanych m.in. przez UPA i formacje pokrewne. Przytacza też według podziału dekanalnego na podstawie opowiadań świadków najstraszliwsze rzezie Polaków. W pracy ks. bpa Urbana i w materiałach zamieszczanych w „Na Rubieży” znajdujemy szereg niezbędnych danych statystycznych. Szczególnie w tym ostatnim relacje zbrodni z każdego powiatu poprzedza informacja o zaludnieniu na rok 1939, procentowej ilości Polaków, liczności parafii rzymsko-katolickich, kościołów i kaplic oraz miast i wsi. W zestawieniach strat polskich zostały wyodrębnione ofiary deportacji i morderstw sowieckich oraz niemieckich. Wydawcy na podstawie posiadanych źródeł szacują ilość ofiar dokonanych wyłącznie przez formacje ukraińskie, w olbrzymiej większości oddziały UPA i mobilizowane przez nie watahy chłopów ukraińskich. Skrupulatnie zaznaczane są warunki i możliwości obrony napadniętych. Niektóre wsie polskie powołały dość skuteczne grupy samoobrony, w innych były one za słabe. W większości osad nie było żadnych możliwości obrony, o co dbał do r. 1944 okupant niemiecki, a później sowiecki (wysyłając na front resztę mężczyzn). UPA wyśmienicie korzystała z komfortu rzezi i znęcania się nad bezbronnymi. Do r. 1944 tylko obecność w pewnych rejonach jednostek honwedów węgierskich, niezmiennie przyjaznych Polakom, ratowała naszych ziomków przed niechybnymi mordami.

Wydawcy starannie zestawiają relacje świadków dotyczące tego samego wydarzenia. Czytelnik i badacz może je uważnie konfrontować. Są to świadectwa zatrważające. Przekazały je osoby przypadkowo ocalone z rzezi, oglądające najczęściej

śmieć swoich bliskich. Przypadkowo, bowiem banderowcy (podobnie jak melnykowscy esesmani z Dywizji SS „Galizien”) nie oszczędzali absolutnie nikogo — ani niemowlęcia, ani ciężarnej kobiety, ani chorego starca. Polaków należało się pozbyć, ich mienie zrabować, gospodarstwa i kościoły doszczętnie spalić. I tak robiono. Pożoga zbrodni od Zbrucza kierowała się ciągle na zachód, metodycznie, z upiorną pedanterią. Relacje drukowane w „Na Rubieży” dokumentują też zabójstwa resztek Żydów ukrywanych przez rodziny polskie. Ale co najważniejsze, utrwalono pamięć o zamordowanych Ukraińcach, tych sąsiadach i krewnych Polaków, którzy stanowczo odmówili uczestnictwa w rzezi. Próbowali nawet ratować Polaków. Płacili za to życiem, zabijani przez siepaczy UPA. Nie było ich niestety wielu, ale istnieli i są jedynymi świadkami człowieczeństwa pośród narodu ukraińskiego w czasach bestialstwa. Przypatrzmy się obecnie efektom tej dokumentacji. Jest to pewien etap ustaleń. Podane liczby ofiar bez wątpienia ulegną zwiększeniu w miarę napływu dalszych wspomnień w wyniku kwerend archiwalnych, a także odkryć masowych mogił. Zaczniemy od woj. tarnopolskiego. Opublikowano materiały zbrodni z piętnastu powiatów. W pow. tarnopolskim UPA atakowała (głównie w r. 1944) 14 miejscowości zamieszkałych przez Polaków. We wsi Łobzowa 28/29 XII 1944 r. z jej rąk padło ponad 1340 osób. Z kolei w Chodaczowie Wielkim Dywizja SS „Galizien” wymordowała 16 kwietnia 1944 r. 862 mieszkańców — Polaków. W pow. podhajeckim w r. 1939 mieszkało ponad 30 tys. Polaków. Łączną ilość ofiar napadów UPA ocenia się na 1800-2000 osób. Zebrane już relacje naocznych świadków pozwoliły zidentyfikować 869 osób zamordowanych w 37 miejscowościach. Ginęły całe rodziny chłopskie, bardzo wiele małych dzieci. Jak wszędzie — ludzie ginęli w strasznych torturach, a zwłoki znajdowano potwornie okaleczone. Mordercy zburzyli 14 kościołów rzymsko-katolickich. Masowe pacyfikacje przeprowadzała tu UPA między lutym a grudniem 1944 r. czyli pod dwiema kolejnymi okupacjami. Przykłady eksterminacji: we wsi Toustobaby 4 kwietnia 1944 r. esesmani Ukraińcy rozstrzelali 12 mieszkańców, a 22 XII 1944 r. (już pod czerwoną gwiazdą) kureń UPA wyrzwał najmniej 72 Polaków. We wsi Boków zabito pod koniec 1943 r. i nocą 10/11 II 1944 r. 56 polskich gospodarzy i ich rodziny. W pow. borszczowskim w r. 1939 mieszkało ok. 33 tys. Polaków. Straty z rąk UPA pośród tej ludności ocenia się na ok. 3 tys. osób. W 20 miejscowościach dokonano masowych zabójstw i męczeństw polskich chłopów. Wsi Głęboczek broniła skutecznie polska samoobrona. Po jej mobilizacji na front, od wiosny 1944 r. na wieś ruszyły watahy UPA. Dnia 4 stycznia 1945 r. banderowcy zamordowali tu 80 osób, paląc 80 proc. zabudowy wsi. W latach 1944-45 pośród polskiej ludności tej wsi było ponad 100 ofiar napadów czy pojedynczych egzekucji. We wsi Cygany zimą 1944/45 UPA wymordowała 63 Polaków. Od r. 1942 do 1946 zginęło tam z rąk ukraińskich 129 osób. W pow. trembowelskim (ok. 45 tys. Polaków w 1939 r.) Ukraińcy zgładzili powyżej 2500 Polaków. Posiadamy relacje z 30 miejscowości. Podam tylko parę przykładów: 24 XI 1943 r. 10 ofiar w Plebanówce 23 XI 1944 r. 70 ofiar w Sorocku, koniec 1943 r. 25 ofiar w Stadnicy, 18/19 III 1944 r. 56 ofiar w Wierzbowcu.

W pow. Brody (ok. 33 tys. Polaków w 1939 r.) starty były jeszcze wyższe, ponad 4 tys. osób. Udało się zgromadzić relacje z 33 miejscowości. W styczniu 1944 r. we wsi Boldury UPA zabiła ponad 100 mieszkańców. W marcu tego roku w Czernicy zabito 20 mężczyzn. Czysto polska wieś Hucisko Brodzkie była

dobrze broniona przez samoobronę i oddział AK, toteż odparto 13 II 1944 r. atak UPA za cenę życia 39 obrońców. Polską wieś Hucisko Pieniackie 28 II 1944 r. pacyfikował oddział SS „Galizien”. Zginęło 62 mieszkańców. Bestialskie zniszczenie pobliskiej polskiej wsi Huta Pieniacka (ok. 800 mieszkańców, od pocz. 1944 r. liczni wygnańcy z sąsiednich wiosek polskich) jest powszechnie znane. Dyw. SS „Galizien” wymordowała tu 28 II 1944 r. ok. 1300 osób. Opis tej zagłady pozostawiło 11 świadków. Mordercy w bestialski sposób zabijali dzieci. Przypomnijmy, że dywizja ta powstała z ochotniczego zaciągu nacjonalistów ukraińskich do walki „o wolną Ukrainę” u boku Niemiec. W niszczeniu Huty Pieniackiej brali też udział upowcy. Udało się zidentyfikować jedenastu wyjątkowo okrutnych zbirów. Dnia 12 III 1944 r. we wsi polskiej Palikrowy UPA pospół z Dyw. SS „Galizien” zabiła 130 mieszkańców. W Podkamieniu 11-15 III 1944 r. ci sami napastnicy skłonili do kapitulacji broniony klasztor dominikański, a następnie dokonali rzezi chroniących się tam polskich zbiegów. Zginęło wtedy 77 osób. W pow. Kamionka Strumiłowa (w 1939 r. ok. 45 tys. Polaków) UPA zabiła ponad 3 tys. naszych rodaków. Zniszczono tu 30 kościołów i kaplic. Mamy świadectwa zbrodni z 36 miejscowości. W pow. buczackim (ok. 75 tys. Polaków w 1939 r.), banderowcy zamordowali ponad 3,5 tys. Polaków. Świadkowie wspominają o mordach i napadach w 35 miejscowościach. Przykład: w Krościatynie w 1939 r. mieszkało 1495 Polaków (106 rodzin). Dnia 29 II 1944 r. UPA wymordowała 124 osoby. W Bobulińcach (13/14 II 1944) zginęły 32 osoby.

W pow. Czortków (1939 r. niespełna 40 tys. Polaków) w wyniku napadów UPA zginęło ponad tysiąc Polaków. Zebrano relacje z 28 miejscowości. We wsi Byczkowce w latach 1942-46 Ukraińcy zabili 106 Polaków. W miasteczku Jagielnica w napadzie 28 XII 1943 r. banderowcy zamordowali 15 osób. W Polowcach 9 I 1944 r. wymordowano 28 Polaków. W pow. zaleszczyckim (ok. 17 tys. Polaków w 1939 r.) najwięcej ofiar pochłonął przełom 1944 i 1945 r. W październiku 1944 r. UPA zabiła w Torskim 74 Polaków, 1 I 1945 r. w Uhrynówkach 75 Polaków, 15 I 45 r. w Lataczu 70 Polaków, 15-16 I 1945 r. w Błyszczance 67 Polaków, 2/3 II 45 r. w Czerwonogrodzie 55 Polaków. Tę koszmarną listę można wydłużyć.

W pow. zbaraskim (ok. 35 tys. Polaków w 1939 r.) straty wyniosły ponad 1000 osób. W samej wsi Berezowica Mała 22-23 II 1944 r. banderowcy wybili 130 mieszkańców. Takie relacje posiadamy z 46 wsi tego powiatu. W pow. zborowskim (24,6 tys. Polaków w 1939 r.) zginęło z rąk ukraińskich ponad 2,5 tys. naszych rodaków. Tę eksterminację dokumentują wspomnienia z 22 miejscowości np. w Milnie 11 XI 1944 r. UPA zabiła 50 Polaków, w polskich przysiółkach Pomorzan w Niedziele Palmową 1944 r. padło 48 osób, a nazajutrz (2 IV) w Zagórze Kolonii — 42 osoby. W pow. kopyczyńskim (w 1939 r. ok. 20 tys. Polaków) ocenia się nasze straty z rąk UPA na ponad 1,5 tys. osób. Świadkowie mówią o 38 napadniętych miejscowościach. W 1944 r. masowe mordy zdarzały się we wsiach Bosyry, Chorostków, Czarnokoniecka Wola i Jabłonów (tu najwięcej: 40 ofiar w marcu). W pow. Przemyślanym (ok. 34 tys. Polaków w 1939 r.) najpełniejsze relacje rzezi pochodzą z wsi Hanaczów i Hanaczówka (2-3 II 44 r. — 74 ofiary polskie i 15 Żydów, 10 IV i podczas ewakuacji 13 IV 44 r. — 35 zabitych Polaków i 13 Żydów) Majdanu Lipowieckiego (40 ofiar) i Tucznej (w napadach UPA 21/22 II i 23 IV 44 r. zginęło przeszło 100 osób).

W pow. złoczowskim (35 tys. Polaków w 1939 r.) relacje zebrano z 22 miejscowości np. w Czyżowie 9/10 II 44 r. zastrzelono 20 mieszkańców (świadkowie rozpoznali 5 zbrodniarzy — ukraińskich mieszkańców tej wsi). W Kotłowie (Wigilia 1943 r.) banderowcy torturowali i zabili 35 osób. W marcu 1944 r. polska wieś Huta Werchobudzka broniła się przed esesmanami „Hałyczyny” i watahą UPA. W tymże czasie w pow. brzeżańskim (1939 r.: 42 tys. Polaków) złapano kuriera UPA z instrukcją eksterminacji Polaków i zniszczenia ich wsi przed inwazją Sowiec. Jakoż instrukcję wykonano (2 tys. ofiar). Najbardziej krwawe mordy przeżyły wsie: Plaucza Wielka (30/31 III 44 r. — 72 ofiary, w tym liczne małe dzieci), Poruczyn (13 IV 44 r. — 37 ofiar), Zapust Lwowski (11 IV 44 r. — 54 ofiary).

Według osobno prowadzonego rejestru w woj. tarnopolskim zabito 42 duchownych-Polaków, w tym bernardynów z Fragi i dominikanów z Podkamienia. Morderstwa te były przeważnie dziełem UPA, w paru wypadkach też policjantów lub esesmanów ukraińskich.

O wiele bardziej skąpy jest dotąd publikowany materiał dowodowy z woj. stanisławowskiego. W pow. rohatyńskim (ponad 30 tys. Polaków w 1939 r.) napady UPA objęły 27 miejscowości i tak np. we wsi Bybło w latach 1943-44 zginęło 42 Polaków, w Dytiatynie 41 Polaków, w Ludwikówce — ok. 150 Polaków, w Słobódce Bolszowskiej 4 II 44 r. 28 Polaków, w Firlejowie 15/16 II 44 r. 40 Polaków. W całym województwie zginęło najmniej 7 duchownych polskich.

W woj. lwowskim zebrano relacje z powiatów radziechowskiego, jaworowskiego i lubaczowskiego. W tym pierwszym

(ok. 24 tys. Polaków w 1939 r.) zginęło w rzeziach minimum 2 tys. osób. Świadkowie wskazali dotąd 8 miejscowości masowych zabójstw. W Niedzielę Palmową 1944 r. UPA zabiła w Pawłowie 34 osoby. W pow. jaworowskim (ok. 20 tys. Polaków w 1939 r.) zabito w podobnych okolicznościach ponad 2 tys. naszych rodaków. Wielkie straty poniósł też pow. lubaczowski, w którym Polacy stanowili połowę zasiedlenia, a który jesienią 1944 r. został wcielony do nowego woj. rzeszowskiego.

Ogólne straty duchowieństwa polskiego z rąk ukraińskich w archidiecezji lwowskiej szacował ks. bp W. Urban na 41 ofiar, w tym aż 20 w 1944 r. podczas systematycznych napadów UPA na plebanie. Niestety, obecnie ta lista ofiar musi ulec znacznemu powiększeniu.

Dodajmy szacunki wołyńskie. Władysław i Ewa Siemaszkowie (Na Rubieży, nr 3/1995, 13, s. 9) piszą o udokumentowanym zabójstwie 34.650 Polaków (11 proc. ogółu Polaków żyjących tam w r. 1942 r.). Badacze ci sugerują, że faktyczna ilość ofiar oscylowała między 60 a 70 tys. Czesław Piotrowski (Na Rubieży, nr 5/196, 19, s. 6) podał bilans tej masakry dla jednego wołyńskiego powiatu Kostopol. Zniszczono tu 110 osiedli polskich, zburzono 23 kościoły i kaplice (z tego 13 przez oddziały UPA). W r. 1939 mieszkało tu 35 tys. Polaków (22 proc. ogółu mieszkańców). W r. 1943 UPA wymordowała w tym jednym powiecie ponad 5 tys. Polaków.

Dochodzenie prawdy trwa. Pozostawiam podany wyżej wciąż uzupełniany materiał bez szerszego komentarza. Pragnę jednak wyrazić opinię, że traktowanie opisanego bezmiaru zbrodni z pozornie humanitarnym pobbazaniem wydaje się szczególnie odrażające i gorszące.

Danuta Nespiak, Zdzisław Ojrzyński Krzywa waga Temidy

Każdy naród, bez względu na kolor skóry, wielkość liczebna, posiadaną lub nie posiadaną zamożność, ma naturalne nie stanowiące przez międzynarodowe gremia prawo do wolności, do posiadanego bytu państwowego. Ma również prawo do własnej nie zakłamanej i nie manipulowanej historii.

W odniesieniu do Polski szczególnie ważny stał się problem odkłamania jej tragicznej historii po 1939 roku. Służąc mają temu nie tylko opracowania naukowe, siłą rzeczy kierowane do niewielkiego kręgu odbiorców, ale również wydawnictwa popularne oraz rzetelna i uczciwa publicystyka. Ta ostatnia, oparta głównie o środki masowego przekazu ma najbardziej szeroki odbiór społeczny a winna korzystać z przywilejów demokracji, która respektuje prawo do swobodnej dyskusji faktów i wydarzeń historycznych, z zastrzeżeniem, że swoboda nie oznacza właśnie manipulacji i zakłamania. Gdyby tak było w III RP — to problem „czyszczenia” najnowszej historii Polski byłby już w dużej części zrealizowany. Tymczasem doskonale widać, że aktualna władza polityczna pilnuje środków przekazu jak oka w głowie. Oto przykład: chodzi o to, by w imię dobrosąsiedzkich stosunków z Ukrainą ktoś nie zburzył misternej siatki propagandowej utkanej wokół tematu „Operacja Wisła” bez odniesienia się do jej przyczyny, którą pomija się milczeniem a która przez tę manipulację nabiera cech ogromnej

tragedii narodowej Ukraińców. (Zaobserwować to było można w wypowiedziach strony ukraińskiej w programie „Mity i stereotypy”, emitowanym w dniu 17 III br. przez TV 2).

Każdy rozsądny Polak jest przekonany, że dobrosąsiedzkie stosunki z Ukrainą są bardzo ważne — jest to nasz partner strategiczny i jest to naród, z którym wiążą nas szczególne więzi historyczne. Głęboki kryzys gospodarczy Ukrainy może być przyczyną nieprzewidywalności rozwoju rozmaitych sytuacji. Jej obywatele żyją w państwie, które nie posiada tradycji parlamentarnych, bo w czasach Rusi Kijowskiej takowej nie było i które buduje dopiero od kilku lat struktury demokratyczne (od 24 sierpnia 1991). Polska racja stanu wymaga, by państwo to było nam przyjazne. Ale to nie przesądza, że ocena operacji „Wisła” nagłośniona ostatnio w związku z przypadającą w II kwartale br. jej 50. rocznicą ma przebiegać wg scenariusza, jakiego domaga się Ogólnopolska Ukraińska Rada Koordynacyjna ds. Operacji Wisła w Kijowie. W jej odezwie sformułowane zostały następujące żądania: a) potępienia przez Sejm RP operacji „Wisła” jako zbrodni przeciw ludzkości; b) uchwalenia rządowego programu dot. powrotu wysiedlonych Ukraińców na rodzinne ziemie; c) zwrotu wysiedlonym ich mienia i zwrotu obiektów cerkiewnych; d) uznania więźniów ukraińskich z obozu w Jaworznie ofiarami stalinowskich represji;

e) przedstawienia społeczeństwu polskiemu prawdziwych przyczyn operacji „Wisła”, jej przebiegu i skutków.

Odezwe tej treści skierowano do naczelnych władz RP i Ukrainy, którą w tym wypadku uzupełniono jeszcze balamutnymi oskarżeniami Polski o: a) likwidację mniejszości ukraińskiej w Polsce, jej prześladowanie i represjonowanie; b) systematycznie niszczenie pamiątek kultury i historii ukraińskiej w Polsce. Odezwe tej treści podpisała Rada w Kijowie 22 VIII 1996 roku (zob. ukraińskojęzyczne „Nasze Słowo” z 26 X 1996).

W świetle powyższych informacji dotyczących operacji „Wisła” cofnijmy się trochę do historii. W województwach pld.-wch. Polski w latach 1944-47 działało podziemie ukraińskich nacjonalistów w formacjach OUN-UPA. Ich główne siły zgrupowane były w woj. rzeszowskim w postaci 3 kuren i kilku samodzielnych sotni. W Polsce Ludowej w granicach tego województwa pozostała tylko część Beskidu Wschodniego — Bieszczady. Ich ukształtowanie terenu, sieci rzecznej i drogowej wybitnie sprzyjało działaniom partyzanckim, co z powodzeniem wykorzystywała UPA. Jej formacje, dobrze uzbrojone i korzystające z aktywnego poparcia miejscowej ludności ukraińskiej, prowadziły zbrojne, terrorystyczne działania mające oczyścić te tereny z elementu polskiego, oderwać je od pojaltańskiej Polski i przyłączyć choćby do USSR, skoro sprawa niepodległej, „samotijnej” Ukrainy wiązała się z oczekiwaniem przywódców UPA na wybuch III wojny światowej.

Ciężkie, trudne i mało efektywne walki z UPA prowadzone w okresie 1944-46 roku przez Ludowe Wojsko Polskie i komunistyczne jednostki MO, KBW i UBP nie przyniosły rozstrzygnięcia. Tropione i rozbijane formacje UPA — kurenie „Bajdy” i „Rena” w rejonie Leska, Sanoka i Przemyśla, „Żeleźniaka” w rejonie Jarosławia i Lubaczowa, „Berkuta” w rejonie Hrubieszowa i Tomaszowa Lubelskiego i sotnie „Bira”, „Smyrnego” czy „Wolodi” odradzały się ponownie. Następowalo to głównie dzięki pomocy i wsparciu ukraińskiego wiejskiego zaplecza a niechętnych po prostu zmuszano siłą lub likwidowano — przykład? Już 9 VIII 1944 roku w Baligrodzie sotnie „Bira” i „Puhacza” rozstrzelały 42 Polaków” i „nielojalnych Ukraińców” (fakt ten podaje nawet ukraiński autor Andrzej Saladiak w książce „Pamiętki i zabytki kultury ukraińskiej w Polsce” W-wa 1993 s. 138). Wobec tej sytuacji komunistyczne władze Ludowej Polski na mocy uchwały rządowej z 24 IV 1947 roku podjęły działania mające na celu przesiedlenie współpracujących z UPA oraz terroryzowanej przez nią ludności ukraińskiej z pld.-wschodniej Polski do jej pld.-zachodnich województw. W tym czasie UPA dysponowała około 2500 wyszkolonych i uzbrojonych ludzi, którą wspierała kilkutysięczna rzesza członków OUN i kilkusetosobowa, będąca postrachem wszystkich ich Służba Bezpieczeństwa. W rejonie najbardziej terrorystycznych działań UPA na pld.-wschodnim cyplu woj. rzeszowskiego (Lesko-Sanok) przesiedleniem mieli być objęci wszyscy bez względu na narodowość.

Operację „Wisła” przeprowadzono w 3 kolejnych etapach, trwała od kwietnia do końca lipca 1947 roku. W I. etapie przesiedlenia objęły rejon Sanoka, Przemyśla, Leska i częściowo Lubaczowa. W 2. — Lubaczowa ciąg dalszy, Jarosławia i Tomaszowa Lubelskiego. W 3. — Nowego Sącza, pld.-wch. części pow. Hrubieszów, dalszego ciągu Tomaszowa Lubelskiego i kilka miejscowości w pow. Nowy Targ. W sumie przesiedlono około 140 tysięcy osób.

Czy nie było innego wyjścia, by zlikwidować ludobójczą formację UPA w pld.-wschodniej Polsce, śmiertelnie niebezpieczną dla ludności polskiej, wśród których byli i ci, którzy uciekli spod siekiery banderowców na Kresach pld.-wch. II RP (np. jak to miało miejsce we wsi Szklary, gm. Dukla, która została spalona 22 VIII 1945 roku). Stosowanie bowiem metody zbiorowej odpowiedzialności zwsze krzywdzi również ludzi zupełnie niewinnych.

Ale trzeba to podkreślić — operacja „Wisła” jako masowy sposób przeprowadzenia przesiedlenia — nie zaistniała nagle, bez żadnej przyczyny, bez towarzyszących jej okoliczności, a tak o niej pisze i tak ją przedstawia strona ukraińska — jako wielką narodową tragedię, która po prostu miała miejsce w II kwartale 1947 roku. Wspomniany już autor książki „Pamiętki i zabytki kultury ukraińskiej w Polsce” tak ten problem naświetla: „Przyczyny akcji „Wisła” wciąż są niezbrane; w literaturze przedmiotu wymieniano jedynie pokrętne i zdawkowe, bądź kłamliwe, charakterystyczne dla komunistycznej propagandy argumenty. Walki z nielicznym wówczas i raczej pasywnym zbrojnym podziemiem ukraińskim (Ukraińska Powstańcza Armia) nie mogą w żadnym wypadku usprawiedliwić rozmiarów i brutalności akcji wysiedleńczej, przypominającej wzory stalinowskie lub hitlerowskie” (s. 14).

Przytoczmy zatem choćby niektóre fragmenty tej „pasywności” OUN-UPA, nie wymieniając w poniższym wykazie napadów na posterunki MO, KBW, jednostki LWP czy komisje przesiedleńcze. (dla autorów tego artykułu poza żołnierzami polskimi pozostałe były strukturami komunistycznymi władzy z którymi walczyło wówczas również polskie podziemie).

19 IV 1944 — napad na Brusno i jej przysiółek Rudki woj. przemyskie, które zostały spalone a znaczną część ludności polskiej wymordowana (jak podaje ks. bp. W. Urban w pozycji „Droga krzyżowa archidiecezji lwowskiej w latach II wojny światowej 1939-45. Wrocław 1983 część dekanatu Lubaczów ze względu na terror ukraiński właściwie opustoszała z Polaków — napady, podpalenia i mordy Polaków w Baszni, Malcach, Podlesiu, Podemsczyźnie, Nowinach Horynieckich, Radrużu, Łukawcu spowodowały, że Polacy zaczęli stopniowo w 1944 opuszczać tereny leżące na wsch. od Sanu. Drogi prowadzące przez lasy były obsadzone przez UPA i dlatego wielu Polaków jeszcze zginęło (zob. s. 114-120).

3 V 1944 — napad kurenia „Żeleźniaka” na Cieszanów woj. przemyskie, który został w 90 proc. spalony.

17 V 1945 — napad kurenia „Żeleźniaka” na Wiązownicę woj. przemyskie. Przebywała tu już od kwietnia ludność polska z Radawy pow. jarosławski, która uciekła stamtąd przed UPA, która spaliła tam pół tej dużej wsi m.in. młyn, tartak, leśniczówkę, szkołę, i budynek gminy. Polacy wrócili do Radawy dopiero w lipcu 1945 r. a banderowcy zeszli do podziemia rabując w nocy wsie położone po lewej stronie Sanu: Łazy, Kotków, Wielgosy, Kolonię Leżachowską, Gorzyce — gdzie spalili most na Sanie (ob. książkę O. Albina Sroki. Radawa. Biblioteczka Przemyska. Seria Historyczna, t. IV, Jarosław 1987, ss. 49-51).

24 VII 1945 — OUN-UPA spaliła zabudowania dworskie we wsiach Ropienka, Bezmiechowa Górka, Glinne, Orelec, Bóbrka woj. krośnieńskie

22 VIII 1945 — pacyfikacja wsi Szklary gm. Dukla woj. krośnieńskie. Znaleźli tu schronienie ekspatrianci z Buga.

15 IX 1945 — napad na stację kolejową Nowa Grobla i Oleszczyce, woj. przemyskie,

29 IX 1945 — napad na Wojtkową woj. krośnieńskie (o zamordowaniu tam 20 Polaków 22 X 1945, spaleni polskich zagród pisze również wspomniany wyżej A. Saladiak w swojej książce, s. 189 dodając, że MO zamordowała też kilkudziesięciu Ukraińców z okolicznych wsi).

2 X 1945 — spalenie Bereżnicy Niżnej, woj. krośnieńskie,

3 X 1945 — spalenie wsi Myczkowce i Solina, woj. krośnieńskie,

6 X 1945 — napad i spalenie Horyńca-Zdroju, woj. przemyskie

26/27 XII 1945 — spalenie wsi Prałkowce, Kruheli Wielkiej i Małej, woj. przemyskie

30 XII 1945 — spalenie Pielni i 200 gospodarstw w Nowosielskach woj. krośnieńskie

krośnieńskie

11 I 1946 — napad na wieś Hoczew, woj. krośnieńskie

4 II 1946 — podpalenie wsi Cisowa w woj. krośnieńskim oraz Rokoszyce, Darowice i Młodowice w woj. przemyskim

4 III 1946 — napad kurenia „Żeleźniaka” na szpital w Lubaczowie i uprowadzenie dyrektora dr. Zygmunta Leszczyńskiego, woj. przemyskie

12 III 1946 — wysadzenie pociągu pasażerskiego między Nową Groblą a Oleszycami, woj. przemyskie

20 III 1946 — napad na Komańczę i spalenie wsi, woj. krośnieńskie

26 III 1946 — napad na Łupków, woj. krośnieńskie

16/17 IV 1946 — napad na Krzywczę i spalenie wsi, woj. przemyskie

7 VII 1946 — napad na Dubiecko, woj. przemyskie,

14/15 VII 1946 — napad kurenia „Rena” na Wolkowyję i spalenie wsi w 70 proc. (wspomniany A. Saladiak podaje, że zabito wówczas ok. 30 Polaków, s. 178)

7/8 VIII 1946 — napad na Uhnów, woj. przemyskie

12 VIII 1946 — napad na Olchowce, woj. krośnieńskie

10 IX 1946 — sotnia „Kryłacza” spaliła wsie Witryłów i Łodzina, woj. krośnieńskie

27/28 IX 1946 — napad sotni „Hromenki” na Ruską Wieś i Nienadową, woj. przemyskie

10 X 1946 — napad sotni „Hrynia” na Pielną, woj. krośnieńskie,

20/21 X 1946 — napad sotni „Hrynia” i „Stiaha” na Prusiek i Niebieszczany woj. krośnieńskie

14/15 XI 1946 — napad na Żmigród Nowy, woj. krośnieńskie

17 XI 1946 — napad kurenia „Bajdy” na miasteczko Dynów, woj. przemyskie

6 XII 1946 — napad sotni „Kałynowycza” na Tarnogród, woj. tarnobrzemieński.

(Dane do tego wykazu autorzy wybrali również z pozycji A.B. Szczęśniaka i W.Z. Szoty „Droga do nikąd”. Działalność organizacji ukraińskich nacjonalistów i jej likwidacja w Polsce”. Wyd. MON, Warszawa 1973, s. 530-536. Książka ta, mimo że pisana zgodnie z obowiązującą wówczas ideologiczną linią zgodną z wytycznymi Gł. Zarządu

Politycznego LWP, jest ważnym źródłem ze względu na zakres informacji. Pikanterii dodaje fakt, że została w tymże samym 1973 r. na żądanie ambasady sowieckiej wycofana ze wszystkich księgarń w Polsce).

OUN-UPA uprawiała na Wołyniu, Małopolsce Wschodniej i w tzw. „Zakierzonskim Kraju” antypolski terror w skali masowej. Rzeczą naturalną, że Polacy organizowali samoobronę i walczyli również w Istriebitelnych Batalionach (IB) podległych NKWD, co było dramatycznym paradoksem i jedyną szansą ocalenia życia. Ale na „Zakerzonii” czyli wg OUN-UPA ukraińskich terytoriach etnograficznych — Chełmszczyzny, Zamojszczyzny, Zasania i Łemkowzczyzny — samoobrony ani IB nie było. Tutaj, do końca 1946 roku głównym politycznym przeciwnikiem komunistycznych władz polskich było polskie podziemie, a przeciw UPA skierowano siły nie wystarczające do zwalczania tak zdeterminowanej terrorystycznej formacji jaką była UPA. Nie zaważyły też zupełnie w ogólnym bilansie walk przed operacją „Wisła” akcje odwetowe przeprowadzone przez polskie podziemie. Narodowe Siły Zbrojne przeprowadziły je w kwietniu 1945 roku we wsiach Rudka gm. Sieniawa, Cewkowie gm. Stary Dzików w woj. przemyskim, w których zginęło łącznie 21 Ukraińców. Akcja NSZ w Wierchowinie gm. Siewnica Różana woj. chełmskie była dużą akcją odwetową. Zginęło wówczas 198 osób w tym, niestety, (jak podaje cytowany już A. Saladiak s. 353) 65 dzieci. Wierchowina była wsią ukraińską, gdzie wielu Ukraińców zasiliło szeregi MO i UBP, zorganizowano tu nawet jednostkę ORMÓ, a kilka dni przed akcją spalono żywcem kilku żołnierzy NSZ (fakty te podaje nawet znany skądinąd w proukraińskich sympatii Bohdan Skaradziński, autor pracy „Białorusini, Litwini, Ukraińcy”, wyd. VII, Białystok 1990, s. 117, za którą otrzymał Nagrodę Kulturalną Solidarności w 1985 roku).

Akcje odwetowe przeprowadził również oddział NOW „Wołyniaka” w woj. przemyskim. Miały one miejsce we wsi Dobra gm. Sieniawa 10 I 1946 r., gdzie zginęło 33 Ukraińców oraz we wsi Dobcza gm. Adamówka 18 V 1945 r. — zginęło wówczas 40 Ukraińców.

Polskie akcje odwetowe przyniosły największą ilość ofiar w Pawłokomiu gm. Dynów woj. przemyskie. Atak przeprowadzony przez zgrupowanie „Warta” pod dowództwem „Wacława” spowodowany został przez uprzednie uprowadzenie i zaginięcie bez śladu 11 Polaków z pobliskiej wsi Bartkówki i Dylągowej. Pod presją rodzin zaginionych osób „Wacław” był zmuszony do współudziału w akcji odwetowej, która zainicjowali mieszkańcy polskich wiosek wspomnianej Bartkówki, Dylągowej i Sielnicy dnia 5 V 1945 r. Doszło do selekcji osób, które miały zostać rozstrzelane, wyłączono bowiem kobiety i dzieci w liczbie 40 osób i wyprowadzono je z Pawłokomy. Liczba ofiar nigdy nie została ustalona dokładnie, ale zginęło wówczas około 350 osób. W Pawłokomiu ocalały przynajmniej kobiety i dzieci, ale OUN-UPA nigdy nie miała takich skrupułów. Mordowano tysiące polskich kobiet i dzieci i na to są setki przykładów. Oto jeden z nich, o którym świadectwo daje osoba o niepodważalnym autorytecie moralnym. Ks. prałat dr J. Kuczyński, więzień łagrów sowieckich, który pracował później

w Kazachstanie i w historycznym Barze na Podolu, autor książki „Między parafią a lagrem” wyd. w Paryżu w 1985 r., w czasie rzezi wołyńskiej był proboszczem w Dederkach pow. krzemieniecki. Oto fragmenty jego wspomnień: „Z początkiem 1943 roku zaczęli ginąć pojedynczy Polacy, na co Niemcy nie reagowali. Banderowcy nabierali więc coraz większej śmiałości; weszliśmy w najgorszy okres... W Radoszówce, w sąsiedniej wsi, 5 km od Dederkał był niejaki Rzepecki, który miał matkę staruszkę, żonę i pięcioro dzieci. Mało tego, jego siostra, mieszkająca w Botosnach, **po tamtej stronie dawnej granicy polsko-sowieckiej, gdzie ludność polska z ukraińską żyły w najlepszej zgodzie** (podkreślenie nasze — D.N. i Z.O.) przysłała do brata na kilka dni córeczkę. Rzepecki nocował w stodole. W nocy przyszli Ukraińcy z innej wsi — tak zazwyczaj robili — ażeby wymordować jego rodzinę. Ze stodoły słyszał, jak zabijali jego matkę, żonę i dzieci. Synek schował się pod łóżko. Mordercy wiedzieli, że jest pięcioro dzieci. Policzyli zabitych i wyszli. Wtedy ojciec wyszedł z kryjówki i zobaczył synka, który był pod łóżkiem ledwo żywy ze strachu. Ocalał on zamiast swojej kuzynki... Na podstawie metryk zrobiłem zestawienie, z którego wynikało, że w ciągu 1943 roku zostało zamordowanych przeszło 200 Polaków, w tym około 50 dzieci do lat 14 i około 50 staruszków” (opublikowane w: Wybaczyć nie znaczy zapomnieć. Oprac. W. Dziemiańczuk. Związek Ziemi Wschodnich RP, Toronto 1996, s. 173-174, 181). Zacytowaliśmy jeden przykład z setek innych, które miały miejsce na Wołyniu, Małopolsce Wschodniej oraz w Polsce pld.-wsch, w jej granicach pojałtańskich.

Akcja terrorystyczna OUN-UPA, zważywszy na jej skalę, nie byłaby możliwa bez masowego poparcia wsi ukraińskich. Np. cały teren luku Sanu na pld.-zach. od Przemyśla charakteryzował się zdecydowanie wrogim stosunkiem ludności ukraińskiej do ludności polskiej.

Jak wspomniano, formalną decyzję o przeprowadzeniu operacji „Wisła” przyjęto w dniu 12 IV 1947 roku w trakcie posiedzenia Państwowej Komisji Bezpieczeństwa, w której uczestniczyli marszałek M. Żymierski, gen. Fr. Józwiak — komendant główny MO i wiceminister resortu Bezpieczeństwa, gen. R. Mossor, gen. K. Świetlik — absolwent szkoły NKWD w Gorkim, min. W. Wolski, gen. J. Stec, gen. G. Korczyński — b. komendant AL na Lubelszczyźnie, w roku 1970 jeden z winnych Wydarzeń Grudnia na Wybrzeżu, płk J. Czaplicki — absolwent szkoły NKWD w Gorkim, dyr. Dep. VII Min. Bezpieczeństwa oraz S. Radkiewicz — minister resortu Bezpieczeństwa. Wszyscy, za wyjątkiem gen. Mossora byli ludźmi Moskwy, co nasuwa logiczny wniosek, że sprawa została uzgodniona na szczeblu wyższym niż władze komunistycznej Polski. Nad przygotowaniem operacji „Wisła” brali już później udział oficerowie Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, Wydziału Informacji LWP oraz oficerowie sowieccy z przedstawicielem NKWD płk. Nowikowem (zob. R. Torzecki. Polacy i Ukraińcy. Sprawa ukraińska w czasie II wojny światowej na terenie II Rzeczypospolitej. W-wa 1993, s. 302.)

Ocena moralna operacji „Wisła” wywołuje dużo kontrowersji. Abstrahując od tego faktu i jego konsekwencji, żadne państwo, bez względu na ustrój, nie tolerowałoby na swoim obszarze regularnej rebelii, mającej na celu oderwanie od swego obszaru terytorium objętego przez nią. Opera-

cja „Wisła” miała na celu odcięcie dopływu ochotników lub osób zmuszanych do wstępowania do oddziałów OUN-UPA i zlikwidowania ich baz zaopatrzeniowych, bez których prowadzenie dalszych działań byłoby niemożliwe. Decyzja o niej zapadła w gabinetach NKWD przy współudziale komunistycznych władz Polski Ludowej. Jakże były jej dalekosiężne cele, można się tylko domyślać. Dziś po 50. latach dystans czasowy sprzyja bardziej obiektywnej ocenie ówczesnej sytuacji. Operacja „Wisła” była dziełem totalitarnego systemu stalinowskiego w Polsce, który równie bezwzględnie i z daleko większym okrucieństwem, nieporównywalnym z przebiegiem tej operacji, zwalczał polską podziemną walkę opozycji z komunistycznym systemem.

Wybuch nienawiści jest nie tylko niebezpieczny ze względu na działanie, które mu towarzyszy — a zwykle są to represje, aresztowania, zabijanie, ale budzi zwykle chęć odwetu i eskalację takich działań. Za operację „Wisła” nie można winić narodu polskiego i nie na nim spoczywa obowiązek przeproszenia Ukraińców, z których na pewno wielu było niewinnych i skrzywdzonych, nie biorących udziału w terrorystycznej działalności OUN-UPA. Dziś Ukraińcy w osobach przedstawicieli swoich organizacji i stowarzyszeń w Polsce i za granicą domagają się, by operację „Wisła” potępił Sejm Polski. Paradoxem jest to, że w obecnym Sejmie RP zdecydowaną większość stanowią postkomuniści, więc nie można wykluczyć, że postkomuniści zechcą potępić grzechy swoich poprzedników — komunistów sprzed pół wieku.

Wybory już blisko i każdy głos mniejszości ukraińskiej będzie się liczyć, bo raczej należy sądzić, że środowisko czytelników „Tygodnika Powszechnego” i „Gazety Wyborczej”, też wybaczące UPA jej ludobójstwo w imię dobrosąsiedzkich stosunków z Ukrainą, będzie elektoratem Unii Wolności, w której przecież również błyszczą dawni karmazyni z PZPR.

Jeżeli zaś chodzi o żądania Ukraińców, by operację „Wisła” uznać za zbrodnię przeciw ludzkości — to żądania takie są zupełnie bezzasadne, bo czym innym są krzywdy indywidualne i grupowe Ukraińców w trakcie przesiedleń i po tej akcji w zestawieniu z masowym mordowaniem ludności cywilnej tylko z racji jej polskiej narodowości. A taką zbrodnię ludobójstwa popełniła OUN-UPA na narodzie polskim, tj. tej jego części, która zamieszkiwała Wołyn, Małopolskę Wschodnią i jej pld.-wschodnie obszary w pojałtańskich granicach. **Nie było to przesiedlenie ani wygnanie, ale czystka etniczna.**

Za tą zbrodnię nie odpowiada naród ukraiński tylko, jak słusznie uważa W. Poliszczuk w swojej pionierskiej pracy „Gorzka prawda. Zbrodnicość OUN-UPA”, Toronto-Warszawa-Kijów 1995 — kilkadziesiąt tysięcy Ukraińców, członków tych organizacji, którzy dokonali bestialskich mordów na cywilnej ludności polskiej. Zarówno sprawiedliwa ocena operacji „Wisła” jak i ludobójczej działalności OUN-UPA na obszarze II RP i Polski pojałtańskiej jest warunkiem ułożenia dobrosąsiedzkich stosunków z Ukrainą nie tylko na szczeblu rządowym, ale na dole, w kontaktach międzyludzkich. Do tych warunków dołączyć trzeba nasze żądania, stanowcze, na drodze dyplomatycznej, by Ukraina nie łamała, jak robi to dotychczas, praw polskiej mniejszości narodowej. Ale to już jest inny problem do zbilansowania w stosunkach polsko-ukraińskich.

Eugeniusz Tuzów-Lubański, Kijów

Życ, aby zabijać

Gdy powiadomiono mnie, że w Kijowie odbędzie się konferencja naukowa „Zbrodnie OUN-UPA przeciwko narodom Ukrainy i innym narodom Europy”, byłem trochę zaskoczony. Przyczyna? Ostatnio jeżeli się mówi coś na Ukrainie o nacjonalistach, to tylko jako o bohaterach narodowych: np. gdyby nie nacjonaści OUN-UPA, to niezależna Ukraina w ogóle by nie istniała, UPA walczyła z hitlerowcami, UPA zwalczała komunistów i Armię Czerwoną. Takie wnioski można wysnuć obserwując, co na temat nacjonalistów ukraińskich mówią czy przekazują w mass mediach Ukrainy. Autorami takich audycji są przeważnie historycy, którzy w przeszłości otrzymali swoje tytuły naukowe za pisanie historii KPZR. Historycy, którzy mają doświadczenie i to duże w fałszowaniu historii. O banderowskich rzeziach Polaków dzisiejsi apologety OUN-UPA wołają zachowywać milczenie, przynajmniej publicznie. Te ziarna kłamstwa padają na podatny grunt, bo przeciętny Ukraińiec jest słabo czy w ogóle nie informowany o morderstwach popełnionych przez UPA. Tylko ludzie starszego pokolenia coś niecoś pamiętają z własnych doświadczeń o zbrodniach OUN-UPA, ale działa w nich instynkt samozachowawczy, bo nacjonaści ukraińscy są nadal agresywni. Dzisiaj nacjonaści mają na Ukrainie swoje dobrze zorganizowane i finansowane legalne struktury. Mają też bojówki paramilitarne — „Tryzub” we Lwowie czy „UNSO” w Kijowie. Chcą dojść do władzy na Ukrainie. Wykorzystują warunki sprzyjające — kryzys gospodarczy, niezadowolenie narodu ukraińskiego polityką władzy państwowej, duży wzrost przestępczości. Nacjonalizm ukraiński już nie jest ruchem marginalnym, jak to próbują przedstawić politycy i dziennikarze polscy. Oficjalne władze ukraińskie albo popierają albo nie przeszkadzają nacjonalistom w ich aktywizacji i kłamliwej propagandzie. Nacjonalizm ukraiński obecnie, to już ideologia, która ma dużo swych zwolenników

Dlaczego mówi się dzisiaj oficjalnie na różnych spotkaniach rządowych o zbrodni katyńskiej? W miejscach mordów porządkuje się cmentarze, stawia krzyże. Natomiast o banderowskich rzeziach Polaków, jeżeli coś się mówi, to z jakimś zażenowaniem. Jak przyjeżdżają na Ukrainę delegacje państwowe z Polski, to starają się o tej bolesnej sprawie w ogóle nie wspominać. Czy na Wołyniu, albo w Galicji leżą w ziemi porzuceni Polacy drugiej kategorii? Ofiarami nacjonalistów ukraińskich była przede wszystkim ludność cywilna i bezbronna — dzieci, kobiety, osoby w wieku podeszłym. Dlaczego morderstwa nacjonalistów spod znaku OUN-UPA — to dzisiaj prawie temat tabu? To samo było przed laty z Katyniem.

Nim wszedłem do sali konferencyjnej, zobaczyłem na ladzie tuż przed drzwiami książkę W. Poliszczuka „Gorzka Prawda”. Nareszcie doczekaliśmy. Książka została wydana w Doniecku na Wschodniej Ukrainie. Nakład 100 tys. egzemplarzy. Nikt w Kijowie — stolicy Ukrainy nie podjął się jej wydania, bo lepsze jest słodkie kłamstwo niż gorzka prawda. Tylko w Doniecku odważono się opublikować prawdę o OUN-UPA, napisaną przez Ukraińca, który odważnie i uczciwie przedstawił ich zbrodnie.

Konferencja — „Zbrodnie OUN-UPA przeciwko narodom Ukrainy i narodom Europy” odbyła się w końcu lutego br. Jej

organizatorami byli: Rada Organizacji Weteranów Ukrainy i Komitet Międzynarodowego Związku Kombatantów. W konferencji uczestniczyło ok. 600 osób. Bardzo interesujące referaty wygłosili dr Witalij Łucenko oraz dr Aleksander Wojciechowski — Ukraińiec polskiego pochodzenia. Pierwszy referent powiedział m.in.:

„Czy trzeba mówić o działalności OUN-UPA? Czy trzeba rozdrapywać rany? Trzeba — choć prawda będzie gorzka. Nacjonalizm ukraiński trzeba jak drzewo badać od korzeni. To chcemy uczynić w intencji, żeby zbrodnie OUN-UPA nigdy się nie powtórzyły. Spadkobiercy OUN-UPA nie osądzili swojej zbrodniczej przeszłości ale mają na celu gloryfikację swej działalności. Ich cel jest niezmienny od samego początku — nacjonalistyczne, soborne państwo ukraińskie na wszystkich etnicznych ziemiach ukraińskich. Jakie ziemie są etnicznie ukraińskie, decydują tylko nacjonaści.

Oto co dzisiaj piszą nacjonaści ukraińscy na łamach swoich gazet: *Ukraina musi pamiętać o swoich etnicznych terytoriach, które okolicznościowo są włączone do obcych państw. Soborność Ukrainy — to nie sprawa dla dyskusji, ale sprawa, którą musi realizować państwo ukraińskie, wykorzystując do tego należne metody i środki.* Tak pisze „Nowy Szlach”, z 9 września 1996 roku, Toronto, Kanada.

Gdzie obecnie w świecie nazywa się ulice imionami zbrodniarzy hitlerowskich? Gdzie można zobaczyć ulice imienia: Hitlera, Goebbelsa, Göringa, Bormanna czy Kocha. A u nas na Ukrainie proszę bardzo, aż się roi od Bandery, Czuprynki-Szuchewycza, Lebiedia, Melnyka, Konowalca, Borowcia.

Jak wytłumaczyć fakt, że prezydent Ukrainy Leonid Kuczma, 29 listopada 1996 r. nagradza orderem Zasługi III stopnia obecnego prezesa OUN za granicą Mykoł Gładuka? Czy można dzisiaj milczeć, gdy deputowany Rady Najwyższej Ukrainy byłby komunista Juchnowskij tworzy organizację weteranów UPA?

Normalne stosunki między Ukrainą a Polską będą tylko wtedy, gdy wszystkie bolesne sprawy, związane z OUN-UPA zostaną rozstrzygnięte. OUN nigdy nie wyznała swojej winy za zabójstwo przynajmniej 100 tys. Polaków na Wołyniu.”

Ciekawe informacje podał w swoim referacie dr A. Wojciechowski.

Na terytorium Polski przez UPA zniszczono 1118 osiedli, 33 tys. hektarów lasów i pól. Według danych ukraińskich ban-



Uczestnicy kijowskiej konferencji.
Pierwszy od lewej dr Aleksander Wojciechowski.
Fot. E. Tuzów-Lubański

derowcy zamordowali 100 tys. Polaków na Ukrainie. Polscy historycy uważają, że jest to liczba zaniżona.

Dużo materiałów dokumentujących zbrodnie OUN-UPA ostatnio zniknęło bez śladu z archiwów Ukrainy i trudno w takich warunkach pracować. Dr A. Wojciechowski posiada dokumenty datowane 18.07.1941 r. z podpisem Stepana Bandery, które zabraniają nacjonalistom wszelkich zbrojnych akcji przeciwko Niemcom. Ten dokument wyraźnie mówi, że za jednego zabitego hitlerowca będzie rozstrzelanych 10 Ukraińców. O jakiej walce z okupantem niemieckim mogła być mowa po wydaniu takiego dokumentu?

Jeżeli chodzi o kwestię żydowską ciekawy jest fakt, że po tytułach mordów Żydów popełnionych przez nacjonalistów ukraińskich, obecnie OUN-UPA ma dość dobre stosunki z diasporą żydowską. Wiadomo, że państwo Izrael finansowało wydawnictwa OUN za granicą, przeważnie w USA. Nacjoniści

potrafili udowodnić, że jeżeli w rzadkich wypadkach uczestniczyli w mordowaniu Żydów, to nie z własnej woli, lecz pod strachem śmierci. Żeby udowodnić to kolejne kłamstwo referent przytoczył fragment listu Jarosława Stećko skierowanego do Reichsministra Rosenberga, w którym pisał, że „Moskwa i żydostwo — to najwięksi wrogowie Ukrainy, bo są nosicielami zakaźnych i niszczących bolszewickich i internacjonalistycznych idei. Dlatego domagam się zniszczenia zamieszkałych na Ukrainie Żydów i przeniesienia niemieckich metod eksterminacji Żydów na nasze tereny”.

Na terenie województwa rzeszowskiego w czasie okupacji hitlerowskiej działał obóz koncentracyjny w Dębicy. Więźniów pilnowały jednostki ukraińskiej dywizji SS „Galizien”. Gdy w 1944 roku Dębicę zajęła Armia Sowiecka, obóz był już zlikwidowany przez esesmanów ukraińskich. Taka jest prawda choć gorzka.

ks. Józef Wołczański

Na ratunek Cmentarzowi Łyczakowskiemu we Lwowie!

Wśród sławnych europejskich nekropolii Cmentarz Łyczakowski we Lwowie zajmuje szczególne miejsce. Przede wszystkim z racji wieku. Powstał on bowiem już w 1786 r., gdy tymczasem legendarny wprost cmentarz Pere-Lachaise w Paryżu erygowano dopiero w 1803 roku, a jeszcze młodszą metrykę ma największy cmentarz w Londynie Highgate Cemetery — 1839 r. Również w skali Rzeczypospolitej w granicach sprzed 1939 r. Cmentarz Łyczakowski plasuje się na wysokim — drugim miejscu pod względem starożytności tuż po wileńskiej nekropolii na Rossie (1769 r.).

Ale nie wyłącznie czas powstania decyduje o wyjątkowej randze wspomnianego cmentarza. Z całą pewnością na pierwsze miejsce wysuwa się pełniona przezeń trudna do przecenienia rola narodowego panteonu, w którym wszakże i inne nacje mają swe należne miejsce. Klasyczne już dzisiaj dzieło prof. Stanisława Niciei pt. „Cmentarz Łyczakowski we Lwowie w latach 1786-1986” (Wrocław 1988) daje miarodajny pogląd na skalę oddziaływania nagromadzonych tam „pamiątek” w kształtowaniu patriotycznej świadomości całych pokoleń Polaków aż po naszą dobę.

Niestety, lata powojennego reżimu sowieckiego na terenach wschodnich II Rzeczypospolitej odciętych linią kordonu od reszty kraju wycisnęły swe niszczące piętno na losie wszystkich zabytków kultury zachodniej, nie omijając bynajmniej Cmentarza Łyczakowskiego. Ofiarą metodycznego wandalizmu padały w pierwszej kolejności wartości religijne: krzyże, figury i reliefy świętych oraz symbole ikonografii starochrześcijańskiej. Niemal równocześnie pod młotem bezkarnych wandalów padały porcelanowe podobizny zmarłych, marmurowe tablice nagrobne, misterne elementy dekoracyjne sporządzone z metali szlachetnych. Na szeroką skalę rozwinął się świetnie prosperujący proceder rabowania nagrobnych płyt marmurowych o niekiedy olbrzymich rozmiarach i niemałej wadze, przenoszących na groby sowieckich notabli w reprezentacyjnej alei zasłużonych

przed pomnikiem bohatera „Reduty” — Juliana Konstantego Ordona. Podobny los spotykał alabastrowe, marmurowe i kamienne rzeźby nagrobne, wędrujące podobno aż do Gruzji czy Armenii do ogrodów bogatych nowych właścicieli. Wreszcie trzeba wspomnieć o rzeczy najbardziej makabrycznej: włamaniach do reprezentacyjnych kaplic i naziemnych grobowców w poszukiwaniu kosztowności. Do dziś wiele z nich zięje otwartymi kryptami, z głębi których bieleją rozrzucone ludzkie piszczele wymieszane z resztkami połamanych trumiennych desek. We wnętrzach szczególnie bogatych architektonicznie kaplic grobowych o rozmiarach niemal małych kościołów, np. Barczewskich, Pajczkowskich, Fogtów, Dunin-Borkowskich (w tej ostatniej jesienią 1996 r. podjęto prace remontowe) z głębokim zażenowaniem można „podziwiać” ordynarne malowidła wzbogacone stosownymi — na tym samym poziomie — objaśnieniami w języku rosyjskim i ukraińskim. Jeśli do tego ponurego obrazu dodamy ślady urządzanych tam pijackich schadzek, o czym świadczą stopy szkła i fekalii — komentarz wydaje się aż nadto zbyteczny...

Upadek Związku Sowieckiego, a co za tym idzie powstanie państwa ukraińskiego wywołały zasadne nadzieje na poprawę losu Cmentarza Łyczakowskiego. Właściwie niewiele obiektów „nadaje” się do zniszczenia podobnymi jak wcześniej metodami, gdyż najcenniejsze bezpowrotnie przypadły (oczywiście poza sztandarowymi nagrobkami na pokaz: Konopnickiej, Grottgera, Zapolskiej etc.). Można by żywić nadzieję, iż gorzej już nie będzie. Tymczasem nowa sytuacja polityczna a nade wszystko ekonomiczna zrodziła nieznane dotąd zjawisko, a mianowicie pojawił się trend skutecznie zresztą realizowany przejmowania dobrze zachowanych polskich grobowców przez nowobogackich ukraińskich nabywców. Dodajmy, iż wszystko to dzieje się legalnie na terenie erygowanego uchwałą rady miejskiej Lwowa z 1 X 1990 r. Historyczno-Kulturalnego Muzeum „Cmentarz Łyczakowski”.

Na czym polega kuriozalny wręcz wymiar owego zjawiska? Otóż zgodnie z uchwałą nr 488 rozdział I z 17 IX 1992 r. podjętej na posiedzeniu rady miejskiej Lwowa, pola 70 — 86 usytuowane w gęsto zabudowanej zabytkowymi grobowcami południowo-wschodniej części Cmentarza Łyczakowskiego podlegają ponownemu zagospodarowaniu, po uiszczeniu przez zainteresowanych stosownej taksy w kasie Muzeum. W rozdziale II, punkt 8 wspomnianej uchwały postanowiono: „W wypadku, kiedy nagrobne pomniki na grobowcach znajdują się w ruinie i na przestrzeni 20 lat nikt się nimi nie opiekuje a właściciele dla dyrekcji Muzeum są nieznani, podlegają one realizacji za zgodą rady miejskiej”. Wzmiankowana wyżej taksa została podówczas określona na sumę blisko 240 dolarów USA; dziś z pewnością uległa zwielokrotnieniu.

Jak w praktyce przebiega enigmatycznie ujęta w cytowanej uchwale rady miejskiej „realizacja” polskich grobowców? Ma ona różnorakie formy, w zależności chyba od pomysłów nabywców. Jedni ograniczają się tylko do usunięcia starych tablic epitafijnych, inni przerabiają częściowo elewację grobowca, a najbardziej zdeterminowani prowadzą całkowity demontaż aż do przysłowiowego ostatniego kamienia całego obiektu. Co jednak dzieje się z doczesnymi szczątkami byłych właścicieli? W tej mierze również brak jednolitej praktyki. Bywa, że wydobyte na zewnątrz leżą na stercie tuż obok oczekując przyjazdu samochodu zbierającego śmieci z cmentarza. Nierzadko oswobodzone z trumiennej osłony zostają zamurwane na dnie grobowca. Nikt nie liczy się z obawą, a nuż rodzina upomni się o swoją własność i domagać się zacznie uszanowania pamięci zmarłych przodków? Taka możliwość po prostu nie wchodzi w rachubę...

Cytowane wyżej rozporządzenie administracji miejskiej Lwowa wyraźnie wskazuje na konkretne pola cmentarne. Dla nieorientowanych warto podać, iż są tam usytuowane grobowce rodzin wyjątkowo zasłużonych dla kraju, a konstrukcja architektoniczna samych obiektów oceniana jest bardzo wysoko. Tytułem przykładu wspomnieć wypada choć kilka nazwisk: ziemiańska rodzina Dąbcańskich (nota bene grobowiec już przejęty przez innych właścicieli), ród Gerstmanów z wybitnym uczonym i organizatorem szkolnictwa wyższego ks. prof. dr. hab. Adamem Gerstmanem (1873-1940) na czele; arcybiskup ormiańsko-katolicki Lwowa Grzegorz Michał Szymonowicz (1800-1875), grobowiec Zgromadzenia Sióstr Józefitek prowadzących przez dziesięciolecia pracę charytatywną wśród najuboższych; grób hrabiów Pinińskich z pogrzebanym w nim prof. Leonem Pinińskim (1857-1938) — namiestnikiem Galicji. Lista nazwisk byłaby zbyt długa, ale już to, co podano, świadczy o niepoślednich postaciach spoczywających na terenie objętym „realizacją” mocą praw ukraińskiej administracji.

Nie trzeba się wszakże ludzić, że obszar zakreślony cytowaną uchwałą bywa ściśle respektowany. Kilka lat temu (1995 r.) wybuchła we Lwowie dość głośna afera, kiedy to w rodzinnym grobie znakomitej polskiej rodziny Thullie, z której profesor i rektor Politechniki Lwowskiej Maksymilian (1853-1939) należał do intelektualnej elity miasta, pogrzebano całkowicie obce zwłoki. Dodać trzeba jeszcze fakt usytuowania wspomnianego obiektu niedaleko od głównego wejścia na cmentarz, a więc poza zasięgiem owej sławetnej „realizacji”. Dopiero rozgłos nadany sprawie przez miejscowych Polaków spowodował pospieszne usunięcie bibułkowych o niebiesko-żółto-zielonych kwiatach wieńców i zatuszowanie pochówku. Nie wiadomo jednak, czy usunięto z grobowca „bohatera” całej sprawy.

Taki sam los, tyle że bez happy endu spotkał cenny artystycznie grobowiec znanego lwowskiego filantropa, proboszcza kościoła św. Mikołaja — ks. prałata Stanisława Sokolowskiego (1866-1931). Korpus obiektu wieńczy figura Dobrego Pasterza projektu inż. Bronisława Wiktora, a mieści się on dosłownie kilkadziesiąt metrów od głównej bramy wejściowej na cmentarz. I tu jakby nigdy nie usunięto dawną dużych rozmiarów tablicę epitafijną, a jej miejsce zajęła znacznie skromniejsza, ale z... nazwiskami pogrzebanego już ukraińskiego małżeństwa.



Grobowiec ks. Prałata St. Sokolowskiego, obecnie własność rodziny ukraińskiej.

Jeszcze dwa inne przykłady. Piszący te słowa latem i jesienią 1996 r. był naocznym świadkiem dewastacji na mocy prawa dwóch zabytkowych dziewiętnastowiecznych polskich grobowców. Jeden z nich zwieńczony kamiennym obeliskiem z niezwykle plastyczną płaskorzeźbą Chrystusa Zmartwychwstałego został w ferworze budowy obalony na ziemię. Konstrukcja uległa bezpowrotnemu zniszczeniu, za to w jego miejsce wzniesiono prymitywny „bunkier” z pustaków. Drugi z grobowców ozdobiony neogotycką ornamentacją usytuowany w pobliżu pomnika Jurka Bitschana i grobowca prof. Władysława Abrahama (1860-1941) został całkowicie zburzony aż do fundamentów, po czym wymurowano w sąsiedztwie innych zabytkowych obiektów koszmarny czworobok w typie kołchozowego silosu.

To wszystko — a cytaty można mnożyć — dzieje się w ostatnich miesiącach na terenie „muzeum”. Trzeba przyznać, że nader swoiście pojmowanego, jak nigdzie bodaj na świecie... Trudno o jakikolwiek komentarz do przytoczonych faktów, bo wszel-



Na miejscu zabytkowego XIX-wiecznego polskiego grobowca wzniesiono prymitywny „bunkier”.

kie słowa okazały się nieudolne w wyrażeniu tego, co czuje rozum i serce. Warto wszak postawić pytanie: czy nie jest to planowa akcja prowadzona w majestacie prawa a zmierzająca do zdepolonizowania miejsca, uchodzącego w świetle międzynarodowych norm za nienaruszalne i święte? Sapienti sat!

Jaki jest w tej sytuacji ratunek, a trzeba przecież szukać prób rozwiązania problemu Cmentarza Łyczakowskiego również na gruncie polskim. Z całą pewnością — jak wolno sądzić — powinien zainteresować się tą kwestią Pełnomocnik Rządu do Spraw Polskiego Dziedzictwa Kulturalnego za Granicą. Dalej — konieczne jest też żywe zaangażowanie organizacji polskich zarówno na Ukrainie i w samym zwłaszcza Lwowie, m.in. Towarzystwa Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej oraz jego odpowiedników w kraju: oddziałów Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich. Dużo bardziej skuteczna powinna okazać się interwencja Konsulatu Generalnego RP we Lwowie a nawet Ambasady RP w Kijowie. Podobnie niezbędnie konieczną rzeczą jawi się postulat opieki ze strony polskich rodzin zamieszkałych obecnie poza granicami państwa ukraińskiego bądź bezpośrednio, bądź przez pośredników — jak to niekiedy choć zbyt rzadko ma miejsce — nad mogiłami bliskich pozostawionymi we Lwowie. Nieocenioną pomoc może okazać Kościół Rzymskokatolicki w odniesieniu choćby do pieczy nad grobami duchowieństwa trzech obrządków: łacińskiego, ormiańskiego-katolickiego i greckokatolickiego. Wyjątkowe zadanie czeka zakony i zgromadzenia zakonne, których władze rezydują najczęściej w Polsce, choć dysponują placówkami na Ukrainie. Trzeba sobie wreszcie przypomnieć, iż do 1946 r. Lwów był siedzibą władz prowincjonalnych a nierzadko generalnych licznych zgromadzeń zakonnych męskich i żeńskich. Musi więc tym bardziej niepokoić fakt całkowitej amnezji odnośnie do własnych korzeni szczególnie u tych, którzy niewielkim stosunkowo wysiłkiem mogliby ocalić od zagłady ślady pamięci o dawnych dziełach charyzmatycznych rozwijanych na Wschodzie od pokoleń. Bez komentarzy i tym razem pozostawmy informację, że dotychczas jedynie Siostry Józefitki oraz Opatrznościanki zadbały o miejsce wiecznego spoczynku swoich współsióstr na Łyczakowie. A gdzie pozostałe kilkanaście rodzin zakonnych męskich i żeńskich? Czyżby pamięć już nie jednostek ale instytucji religijnych okazała się aż tak krótka? Nie wiadomo, czy zadeklarowana dosłownie przed paroma tygodniami teoretyczna gotowość niektórych przynajmniej władz

zgromadzeń zakonnych z siedzibą w Polsce do przyjęcia z pomocą ginącym zabytkom na Łyczakowie przybierze realne kształty. Wreszcie grobami swoich koryfeuszów powinni zainteresować się przedstawiciele wielu dziedzin nauki i kultury w Polsce. Tak niewiele przecież potrzeba, aby raz na pewien czas wybrano się do Lwowa z misją oczyszczenia, odnowienia i zabezpieczenia pomników tych, którzy na trwałe weszli do zbiorowej pamięci narodu jako wybitni uczeni, pisarze, aktorzy, muzycy, architekci etc. Np. pilnej pomocy oczekuje nagrobek słynnego zoologa i profesora Uniwersytetu Lwowskiego Józefa Nussbauma-Hilarowicza (1859-1917), renowacji wymaga grobowiec architekta i profesora Politechniki Lwowskiej Tadeusza Obmińskiego (1874-1932), podobne prace trzeba wykonać w stosunku do pomnika na grobie znakomitego historyka i archiwisty dr. Antoniego Prochaski (1852-1930).

Listę nazwisk można kontynuować w nieskończoność. Dodajmy jeszcze i to, że obecnie akcję renowacji ułatwia zgoda dyrekcji „muzeum” łyczakowskiego, która w rozmowie z przedstawicielami rzymskokatolickiego kościoła we Lwowie ubolewała (sic!) nad zaniedbaniem przez stronę polską troski o pamiętki narodowe. Czyż nie należy natychmiast wykorzystać tej szansy?

Aby zakończyć niniejszy szkic nieco bardziej optymistyczną nutą warto wspomnieć całkiem świeżą, bo sięgającą narodzinami jesieni ubiegłego roku wspólną inicjatywą Polaków z tej i z tamtej strony granicy. Mianowicie jesienią 1996 r. doszło do porozumienia pomiędzy oddziałem Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich w Krakowie a proboszczem Bazyliki Metropolitalnej ob. łac. we Lwowie — ks. Andrzejem Baczyńskim SDB w sprawie połączenia wysiłków w dzieło ratowania Cmentarza Łyczakowskiego. Polska strona zobowiązała się zadbać o stronę finansową przedsięwzięcia, natomiast ks. Baczyński wraz z grupą wiernych obiecał pomoc fizyczną. Całości zamierzeń „pobłogosławił” dyrektor cmentarza-muzeum — zmarły zresztą nagle w grudniu 1996 r. — niejaki Łupij. I oto rzecz zdawałoby się nierealna stała się możliwa. Codziennie od godz. 9.00 na cmentarzu gromadziły się grupki pracowników z grona parafii rzymskokatolickiej ob. łac., wśród których przeważały stare kobiety, ich dzieci, a nawet wnuki. Pracę podzielono systemem specjalizacji: jedna ekipa usuwała dzikie krzewy, małe drzewka i zarośla, inna — oczyszczała dokładnie korpus pomników, jeszcze inna montowała fragmenty zdewastowanych detali architektonicznych. Czynności



Prace porządkowe wykonywane przez Polaków na Cmentarzu Łyczakowskim w listopadzie ubr.

wymagające zabiegów renowacyjnych na miarę specjalistów odkładano na czas uzyskania pomocy ze strony takowych.

Zanim nadeszła zima oczyszczono i odnowiono dosyć gruntownie kilkaset grobów rozmieszczonych na przestrzeni kilku pól. Efekty tych zdawałoby się amatorskich działań są zdumiewające: całe połacie Cmentarza Łyczakowskiego nabrały dostojnego piękna, spoza którego tu i ówdzie prześwitują zbyt dotkliwe — jak na szybkie uleczenie — rany przeszłości. Można więc stosunkowo skromnymi środkami uczynić prawdziwe cuda, o ile nie brakuje inicjatywy, dobrej woli, zapału i uporu w kontynuacji rozpoczętego dzieła.

Trzeba przy tym dodać, iż prowadzona praca — poza wymiarem niejako technicznym i kulturowym — nosi na sobie wyraźne znamię humanitarne; z jednej bowiem strony na nowo uczy szacunku do „przeszłości ołtarzy”, z drugiej zaś daje szansę zarobku wegetującym na skraju nędzy rodzinom. Czyż nie ratuje się w ten sposób tak idei jak i człowieka? Warto więc koniecznie włączyć się do pomocy!



Uporządkowany fragment Cmentarza Łyczakowskiego.

Tomasz Cieszyński

O profesorze Jakubie Parnasie na tle Lwowa z lat 1938-1945

Kiedy zaczynałem studia lekarskie na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie, w jesieni roku 1938, wszystko było dla mnie nowe i urzekające majestatem wiedzy. Z podziwem patrzyłem na piękne budynki zakładów teoretycznych, z nabożeństwem słuchałem pierwszych wykładów. Już sama ceremonia immatrykulacji, która odbyła się we wspaniałej auli uniwersytetu wywarła na mnie głębokie wrażenie, kiedy pan dziekan ubrany w togę ozdobioną złotym łańcuchem z wizerunkiem królewskim, profesor Napoleon Gąsiorowski, podawał nam do uścisku rękę w czarnej rękawiczce, a pani Rzucidłowa przekazywała mu do wręczenia kolejny indeks studencki. W szczególności utkwił mi w pamięci wykład propedeutyki lekarskiej profesora Włodzimierza Sieradzkiego, w którym ukazał wizję naukowej tradycji Lwowa sięgającej roku 1661 — *ab Universitate Leopoliense condita*. Chyba drugim z kolei był wykład z chemii ogólnej dla medyków, który miał profesor Jakub Parnas. W dużej sali wykładowej, za długą i bardzo wysoką ladą chemiczną stanął starszy pan ogromnego wzrostu i okazałej tuszy, o twarzy z nalany różowymi policzkami, z kroplami potu na czole, o krótko ostrzyżonych, siwiejących włosach. Jednakże w zestawieniu z potężnym stołem chemicznym wyglądał w pełni proporcjonalnie, tylko asystent Pieczonka wydawał się drobny a przygotowująca pokazy pani Mochnacka zaledwie wystawała nad płytę stołu. Profesor spojrzawszy na nas niebieskimi oczyma zaczął od słów: „Moi Państwo!” lekko przy tym sapiąc. Kontakt ze słuchaczami został nawiązany.

Wykłady jego były niezmiernie ciekawe ze względu na obrazowy sposób mówienia, obfitość pokazów i zwyczaj wplatania anegdot i żartów. Kiedy przedmiotem wykładu była woda jako jeden z głównych składników skorupy ziemskiej pouczał, że woda destylowana jest bezbarwna, jednakże woda, źródłana, którą Lwów prowadził rurociągiem ze Szkła i Dobrostan, zawierająca nieco związków chemicznych, jest barwy lekko błę-

kitnej. Nie wszyscy o tym wiedzieli, ale ja wiedziałem, że to prawda. Aby unaocznić ten fakt profesor wziął do ręki szklaną kolbę i napelnił ją wodą z kranu. Potem uniósł ją do góry i trzymając z tyłu poza nią biały karton pokazał obecnym. Sam byłem zdumiony, że w tak małej ilości wody zjawisko niebieskiego zabarwienia wody wystąpiło tak wyraziście. Zapytawszy siedzących w pierwszej ławce studentów, czy potrafią określić kolor wody uśmiechnął się i powiedział: Rzeczywiście ta woda jest wyraźnie niebieska, ale dziwi mnie, że nikt nie zauważył, iż na dnie kolby była odrobina błękitu metylenowego. Niemniej jednak to, co powiedziałem o kolorze wody wodociągowej, jest słuszne, aczkolwiek można się o tym przekonać dopiero na grubszej jej warstwie np. w domowej wannie.

Kiedyś, na wykładzie z chemii fizjologicznej na temat chemii moczu powiedział, że lekarz może, nie mając nawet do dyspozycji laboratorium, w prosty sposób stwierdzić, czy badany przez niego chory ma cukrzycę. Nie każdy jednak nadaje się na lekarza.

— Oto zlewka z moczem chorego na cukrzycę. Wkładam do niej palec, a teraz mój palec obliżuję. Czy jest na sali student, który odważy się to zrobić?

Znalazł się student-ochotnik, spróbował i powiedział: — Ten mocz jest lekko słodki. — I słusznie — powiedział Parnas. — Dziwi mnie jednak, że nie zauważył Pan, iż próbując smak tego moczu wsadziłem palec wskazujący, a polizałem palec trzeci. — Wywołało to wybuch śmiechu. Gwoli dokładności należy wspomnieć, że nie wszyscy studenci akceptowali taki sposób żartowania.

Poczucie humoru, jakie posiadał było ważnym atrybutem jego osobowości promieniującej talentem dydaktycznym, przede wszystkim jednak obdarzonej uzdolnieniem badawczym, którego jako studenci nie mogliśmy oczywiście ocenić, ale z treści wykładów wyraźnie ono wynikało.

Dopiero z perspektywy 37 lat po śmierci profesora Parnasa kompetentną i wnikliwą ocenę całości jego dorobku badawczego podał prof. Włodzimierz Ostrowski.

Okres pogodnych studiów skończył się bezpowrotnie z chwilą wybuchu II wojny światowej i utraty niepodległości przez Państwo Polskie. W atmosferze przemocy oraz niewyobrażalnego zakłamania, które przyniosła okupacja sowiecka — Wydziały Lekarski i Farmaceutyczny zostały wydzielone z Uniwersytetu i utworzono z nich Państwowy Instytut Medyczny stosownie do wzoru sowieckiego. Na jego czele postawiono doktora nauk medycznych Anatolija (?) Makarczenkę z Moskwy, który okazał się człowiekiem sprężystym i sprawnym w dziedzinie administracji. Mianował dziekanem Wydziału Lekarskiego prof. Bolesława Jałowego, a dziekanem Wydziału Farmaceutycznego prof. Jakuba Parnasa. Na wstępnym zebraniu z profesorami medycyny przedstawił się jako były pastuch, który dzięki osobistym zdolnościom i opiece partii komunistycznej doszedł do swego stanowiska. Posiadał niewątpliwie łatwość kontaktu z ludźmi.

Nastrój, jaki towarzyszył otwarciu studiów w Medycznym Instytucie, był ponury i przygnębiający (spędzono na tzw. mityng, aby kłamliwą i nachalną propagandą wytworzyć w nas poczucie zniewolenia i beznadziei). Nad stołem prezydialnym rozwieszono na czerwonym tle ogromny napis:

MY POBIEDIM WES' MIR.

PROLETARII WSIECH STRAN, SOJEDINIAJTIES'

Na kolejnych mityngach szkalowano Polskę i polskość stosując ordynarne inwektywy dla uzasadnienia agresji sowieckiej i okupacji terytorium Rzeczypospolitej Polskiej. Były to działania psychologiczne, którym towarzyszyły działania fizyczne dokonujące się nieustannie w całym mieście. Dotyczyły one kolosalnego niedoboru żywności (z pewnością sztucznego w początkowym okresie), powodującego długie „ogonki” osób czekających po kilka godzin na możliwość kupienia chleba, cukru i innych niezbędnych środków żywności, a przeżywających w tym czasie lęk o to, co się dzieje w ich mieszkaniach. Te bowiem były oblegane przez sprowadzone rodziny rosyjskie, które przeważnie siłą zdobywały do nich dostęp, aby następnie zagnieździć się w najbliższym czasie spowodować wywóz całej lwowskiej rodziny na wschód za Ural — w nieludzkich warunkach zimy, głodu i przemocy. W takiej atmosferze psychicznego i fizycznego terroru ludność Lwowa samorzutnie i instynktownie jednoczyła się w duchu potępienia szatańskiej rzeczywistości. Jedynie jednostki nie czujące się etnicznie związane z polskością włączyły się w nurt zakłamej propagandy i na łamach „Czerwonego Sztandaru” wtórowały nakazom z Moskwy, uzupełniając je płaszczeniem się i wychwalaniem „słońca narodów” Stalina. Z nich rekrutowali się późniejsi czołowi przedstawiciele literatury i prasy PRL. O ile ktoś mógł mieć iluzję co do istoty ustroju komunistycznego, jaki siłą wprowadził Związek Sowiecki, jak to było z profesorem Franciszkiem Groerem, który na pierwszym mityngu w Instytucie prof. Weigla powiedział ze swadą: „przez całe moje życie przewijała się czerwona nić komunizmu”, co miałem przykrość osobiście usłyszeć, to trzeba powiedzieć, że prędko się ich pozbył i nigdy potem nie pozwolił sobie na podobną enuncjację. Przeciwnie, grono profesorów medycyny zachowywało się z godnością, a trzeba wspomnieć, że jednego z nich NKWD aresztowało, mianowicie profesora Romana Renckiego, oskarżając go — jak podaje prof. Albert — o to, że finansowo wspierał polską konspirację niepodległościową.



Wieloletni delegat profesor Parnas wygłasza przemówienie inauguracyjne. Foto Rapaporta

Wspomniany dyrektor Makarczenko żądał od profesorów, ażeby wykładali po rosyjsku albo po ukraińsku, pomimo że nie znali tych języków ale nie osiągnął tego celu, a nawet dwaj profesorowie, tj. Groer i Ostrowski, którzy znali świetnie rosyjski wykładali w końcu po polsku, albowiem zespół słuchaczy pediatrii i chirurgii szczegółowej w latach wyższych stanowili w większości Polacy.

Pozostaje mi w pamięci narada dotycząca sprawności nauczania z udziałem profesorów i studentów wydziału lekarskiego zwołana przez dyrektora Makarczenkę, na której zabierali głos tzw. starostowie kursów czyli lat studiów. Stosownie do sowieckiego stylu takich zebrań można się było spodziewać napaści na profesorów wykładających po polsku. Tymczasem przemawiający kolejno starostowie zachowali się rzeczowo, stwierdzając, że po początkowych trudnościach zaczęli rozumieć wykłady i są z nich zadowoleni. Atmosferę zakłóciła jedynie starościna pierwszego roku zarzutem w stosunku do profesora Parnasa. Przytoczyła sprawę koloru wody wodociągowej i oświadczyła: „nie wolno obmamywat’ studentów nieczestnym eksperymentom”. Zaskoczony tą krytyką profesor Parnas próbował zasłonić się chęcią wyrazistego przedstawienia przedmiotu, ale Makarczenko zakończył rzecz krótko: „Nielzia tawo dielat’, prafiesor Parnas!”

W klimacie bardzo ciężkiej zimy i narastającego sowieckiego terroru niosącego kolejną falę wywozów na wschód — Lwów wchodził w rok 1941, zachowując pomimo udręczenia wolę przetrwania. Tym większym zaskoczeniem było niespodziewane zaprezentowanie się jako sowieckiego działacza politycznego znanego profesora Jakuba Parnasa. W numerze z 9 stycznia 1941 r. wychodzący codziennie „Czerwony Sztandar” obwieścił, że prof. Jakub Parnas przyjął czołową rolę

w Lwowskiej Obwodowej Radzie Delegatów Pracujących i dnia poprzedniego, tj. 8 stycznia 1941 r. wygłosił przemówienie inauguracyjne na pierwszej sesji tejże Rady. Oto, co wtedy powiedział: *Przypadł mi w udziale wielki zaszczyt otwarcia pierwszej sesji Lwowskiej Obwodowej Rady Delegatów Pracujących. Przed Obwodową Radą Delegatów Pracujących staje zagadnienie dalszego budownictwa gospodarczego. Powinniśmy przede wszystkim podwoić dalszy rozwój przemysłu, zwiększyć wydaj-*

Przemówienie delegata J. Parnasa

Przypadł mi w udziale wielki zaszczyt otwarcia pierwszej sesji Lwowskiej obwodowej Rady delegatów pracujących.

Przed obwodową Radą delegatów pracujących staje zagadnienie dalszego budownictwa gospodarczego. Powinniśmy przede wszystkim podwoić dalszy rozwój przemysłu, zwiększyć wydajność pracy, podnieść jakość produkcji, rozwinąć gospodarkę rolną. Wszystko to powinno zapewnić dalsze polepszenie materialnego dobrobytu pracujących.

Towarzysze! Mądra polityka zagraniczna rządu radzieckiego zapewniła nam pracę pokojową, ale nie możemy zapominać, że pozostajemy w otoczeniu kapitalistycznym.

Oto dlaczego towarzysze, Rada obwodowa i wszyscy pracujący naszego obwodu powinni jeszcze bardziej zaostrzyć uwagę w sprawie wzmocnienia Czerwonej Armii, zwiększenia obronności i potęgi naszej ojczyzny.

Niech żyją pracujący Związku Radzieckiego, którzy stworzyli pierwsze w świecie wielkie państwo robotników i chłopów (oklaski).

Niech żyje Wszechzwiązkowa Komunistyczna Partia bolszewików! (huczne oklaski).

Niech żyje wielki wódz, przyjaciel i nauczyciel pracujących towarzysze Stalin! (długotrwałe oklaski. Wszyscy wstają).

ność pracy, podnieść jakość produkcji, rozwinąć gospodarkę rolną. Wszystko to powinno zapewnić dalsze polepszenie materialnego dobrobytu pracujących.

Towarzysze! Mądra polityka zagraniczna rządu radzieckiego zapewniła nam pracę pokojową, ale nie możemy zapominać, że pozostajemy w otoczeniu kapitalistycznym. Oto dlaczego, Towarzysze, Rada Obwodowa i wszyscy pracujący naszego obwodu powinni jeszcze bardziej zaostrzyć uwagę w sprawie wzmocnienia Czerwonej Armii, zwiększenia obronności i potęgi naszej ojczyzny.

Niech żyją pracujący Związku Radzieckiego, którzy stworzyli pierwsze w świecie wielkie państwo robotników i chłopów! (oklaski) Niech żyje Wszechzwiązkowa Komunistyczna Partia Bolszewików! (huczne oklaski). Niech żyje wielki wódz, przyjaciel i nauczyciel pracujących towarzysze Stalin! (długotrwałe oklaski, wszyscy wstają).

Jest to dosłowny tekst przemówienia według „Czerwonego Sztandaru” z nawiasowymi komentarzami tejże gazety. Należy podkreślić, że treści przemówienia z dnia 8 stycznia 1941 roku

profesor Parnas nigdy nie sprostował, nie odwołał się, nie wyparł.

Tym aktem politycznym Jakub Parnass uczynił Związek Sowiecki swoją ojczyzną łamiąc lojalność wobec Rzeczypospolitej Polskiej, której od roku 1921 zawdzięczał stanowisko profesora UJK, warunki owocnej pracy naukowej i społeczny szacunek.

Jest w tym akcie politycznym coś szczególnie zastanawiającego. Abstrahując od jego oceny moralnej nie można było wówczas zrozumieć, co profesor Parnas chciał tym sposobem osiągnąć. Czyżby przewidywał, że wybuchnie wojna między Niemcami a Związkiem Sowieckim, a nie czując się Polakiem wybrał opcję, którą uznał za najbezpieczniejszą? Czy myślał serio o karierze politycznej w sowieckim reżimie?

W świetle przedstawionych faktów gołosłowne są twierdzenia, że powód do nagłego opuszczenia Lwowa przez profesora Parnasa razem z żoną i synem zaraz po napaści III Rzeszy Niemieckiej na Związek Sowiecki w czerwcu 1941 roku, nie miał realnego aspektu politycznego. Jest bowiem rzeczą oczywistą, że jako wysoki dygnitarz sowiecki nie miał wyboru. Uciekając, uratował życie zagrożone w nie mniejszej mierze także ze strony dwóch innych kryteriów hitlerowskiej polityki eksterminacyjnej.

Sprawę osoby profesora Parnasa zagłuszyły zupełnie tragiczne wypadki, które nastąpiły we Lwowie na przełomie czerwca i lipca 1941 roku. Bezpośrednio po niemieckiej agresji NKWD przeprowadziło we Lwowie masowe aresztowania. Wśród aresztowanych znalazł się ojciec mojego kolegi Romka Kostołowskiego — starosta okresu międzywojennego Wojciech Kostołowski, którego zaraz po uwięzieniu, razem z kilkoma tysiącami innych więźniów, okrutnie zamordowano. W ciągu kilku dni od 22 do 27 czerwca 1941 roku odczuwaliśmy we Lwowie objawy paniki i nasilonego terroru ze strony zaborcy. Czerwona Armia cofała się bezładnie, władze polityczne i administracyjne pośpiesznie likwidowały swoje agendy, przerażone rodziny sowieckie uciekały samochodami ciężarowymi. Jako ostatnie, bo 27 czerwca wycofało się NKWD.

Naloty niemieckie a przede wszystkim starcia na kruszącej się linii frontu sprawiły, że szpitale pełne były rannych. Przez tych kilka dni pracowałem w Klinice Chirurgicznej jako student-sanitariusz starając się pomóc w miarę swych możliwości. 26 czerwca w południe przed klinikę zajeżdżał samochód ciężarowy, wysiadła z niego kobieta w mundurze wojskowym, która z pepeszą w ręce błyskawicznie wtargnęła na salę chorych, gdzie leżało kilku żołnierzy sowieckich. Stałem przy łóżku rannego w klatkę piersiową. Ranny żołnierz czy też oficer był przytomny, ale z trudnością oddychał. Kobieta wymierzyła we mnie pepeszę, a spojrzawszy na rannego zawołała: „Wstawaj!” i jakby usprawiedliwiając się powiedziała do mnie: „Eto moj muž”. Ranny powoli powstał i zataczając się, podtrzymywany przez kobietę zszedł do ciężarówki i zaraz odjechali.

28 czerwca nie było już NKWD-ystów, sowieckich żołnierzy ani cywilów. Ludność miasta, zrozumiałwszy, że groza sowiecka przestała istnieć, wyłamała bramy więzienia, aby uwolnić swoich bliskich, krewnych i przyjaciół. Obraz, który poznano, był straszny. W obu więzieniach — przy ul. Łąckiego i przy ul. Kazimierzowskiej odnaleziono tylko stosy trupów. Wrażenie było niehumanitarne i niesamowite. Byłem tyl-



Z drugiej sesji Lwowskiej Rady Obwodowej delegatów pracujących. Grupa delegatów w rozmowie w czasie przerwy. Od lewej: tow. E. Pawnyk z kolchozu „Komunizm”, rejonu Żółkiewskiego, obwodu lwowskiego, prof. J. Parnas, kolchozniczka N. Ratyńska z kolchozu im. Stalina, rejonu Ponikwolskiego, obwodu lwowskiego, oraz piosenka E. Szemplińska. Foto Rapaporta

zakład pracy z elementarnym wyposażeniem chemicznym i oficjalny tytuł do wykonania tego zadania. Nie mam bowiem w Moskwie ani zatrudnienia ani warsztatu pracy. To wszystko można załatwić — powiedział Stalin i żegnając się ze mną dodał: „Spasiba za Wasze przedłożenie”. Audycja była skończona.

W ciągu kilku dni zaferowano mi pomieszczenie chemiczne nadające się na pracownię, jednak bez jakiegokolwiek wyposażenia. Zrobiłem listę obejmującą niezbędny sprzęt oraz zapas szkła laboratoryjnego i koniecznych odczynników. Otrzymałem to bardzo prędko, chociaż w małej ilości. Jednocześnie dostałem nominację na kierownika zakładu biochemii stanowiącą podstawę stabilizacji w Moskwie. Nie minął tydzień, a już dostarczono kilka metrów sześciennych kurzych odchodów.

— To brzmi zupełnie jak baśń z tysiąca i jednej nocy — powiedziała moja Matka.

I ja poniekąd to tak odczuwałem.

— A kiedy został Pan członkiem Akademii?

— Nastąpiło to niedługo potem.

— To znaczy, że udało się Panu zrealizować syntezę kofeiny?

— Co do tej sprawy, to muszę przyznać, iż z góry przewidywałem, że nie jest ona do wykonania w tych warunkach. Aby zyskać na czasie wysuwałem dodatkowe żądania dotyczące wyposażenia zakładu i dzięki temu minął okres cofania się wojsk sowieckich aż front stanął pod Stalingradem, a potem zaczęła się kontrofensywa. Wtedy sprawa kofeiny przestała być paląco ważna.

— A jak układają się Pana stosunki na terenie Akademii?

— Nawiązałem osobiste kontakty z kilkoma osobami w bardzo miłej a nawet przyjaznej atmosferze. Trzeba przyznać, że większość członków to ludzie na wysokim poziomie intelektualnym. Niestety, nie wszyscy.

— A co Pan myśli o Łysence, którego tak silnie reklamuje oficjalna propaganda?

— Widzi Pani, to przebojowy, ale niebezpieczny człowiek. Przede wszystkim naukowy hochsztapler. A w pewnym sensie terroryzuje członków Akademii swoimi pozanaukowymi powi-

zaniami. Przekracza to granice przyzwoitości. Na jednym z posiedzeń wystąpił z tyradą nonsensów, które zebrani przyjęli w zupełnym milczeniu. Wtedy nie wytrzymałem i rzeczowo skrytykowałem jego wystąpienie. Od tego czasu jest on, jak sądzę, moim zaciekle wrogiem.

— Bardzo to przykre, mam jednak nadzieję, że wszystko ułoży się dobrze i oby tak samo szczęśliwie, jak do tej pory.

Teraz z kolei profesor Parnas zaczął zadawać pytania dotyczące rodzin zamordowanych profesorów. Zainteresował się losem pani docent Schuster, szwagierki profesora Nowickiego.

Rzeczywiście, pani Lusja podpisała Volkslistę i bardzo z tego powodu cierpiała. Zrobiła jednak w tym czasie wiele dobrego i narażała się wspólnie z panią Olgą (Nowicką) przechowując kilkoro Żydów.

Parnas pokiwał głową mówiąc: — Biedaczka postawiła na niewłaściwego konia.

— Myślę, Panie Profesorze, że trudno jest być czymś sędzią.

Parnas nic na to nie powiedział.

Kiedy po przeszło dwu godzinach pogawędki profesor Parnas się podniósł i zaczął żegnać, Matka przekazała na jego ręce życzenia dla pani Parnasowej i życzyła mu szczęśliwego powrotu do Moskwy. Odprowadziłem go na dół aż do samochodu. Podając mi rękę uśmiechnął się.

Jak wiadomo, profesor Parnas zmarł w roku 1949 (29 stycznia) w czasie przesłuchania w więzieniu w Moskwie. Został aresztowany na podstawie oszczerczych „zarzutów o szpiegostwo na rzecz zachodniego państwa”. Zdumiewające, że naczelny prokurator Związku Sowieckiego generał Rudenko i prokurator wojskowy pułkownik Granielow, którzy te fakty stwierdzili nie umieli wskazać autora owych „oszczerczych zarzutów”.

Można przypuszczać, że błąd życiowy, jaki popełnił profesor Parnas 8 stycznia 1941 roku wypływał z kolejnych faz kształtowania się jego świadomości: w dzieciństwie tworzyła się ona w środowisku żydowskim w rodzinnym Tarnopolu, w okresie gimnazjalnym w środowisku polskim we Lwowie, w czasie stu-



Medal ku czci generała Władysława Andersa: „Może nie wszyscy, ale dojdziemy”.

diów akademickich wśród Niemców w Berlinie-Charlottenburgu, po uzyskaniu dyplomu w międzynarodowym środowisku w Zurichu, gdzie u prof. Willstaettera zrobił doktorat, następnie w środowisku na połę francuskim na połę niemieckim w Strassburgu, gdzie habilitował się u prof. Hofmeistera, a potem w środowisku angielskim w Cambridge (gdzie u prof. Hopkinsa zetknął się z problemem beztlenowej glikogenolizy) — aż stała się świadomością internacjonalną. I wtedy, po trzyletnim pobycie w Warszawie, otrzymał stanowisko kierownika Katedry Chemii Fizjologicznej na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie. Na tym Uniwersytecie w ciągu dwudziestu lat wykonał swe najlepsze prace badawcze i wykształcił wielką liczbę nowoczesnych biochemików.

Być może w swym barwnym życiu nie spostrzegł, że istnieje ważna więź międzyludzkie i choć z natury był wnikliwy

i bystry, w tym właśnie zakresie zabrakło mu głębi spojrzenia. Dlatego tak lekko mu przyszło wybrać oficjalnie na swą ojczyzną Związek Sowiecki i akceptować zbrodniczy i niehumanitarny system, mimo że doskonale wiedział, jakie cierpienia zadaje on polskiemu narodowi. Był to błąd moralny o istotnym znaczeniu, z którego zdał sobie sprawę dopiero gdy chodziło o jego syna, którego bardzo kochał. A przecież młody Jan Oskar Parnas urodził się i wychował w Polsce i czuł się Polakiem. I wtedy profesor Parnas zrozumiał, że istnieje związek między nim a Polską i świadomy swego przewinienia złożył życie swego syna na ołtarzu powinności wobec ojczyzny. Bóg nie przyjął ofiary niewinnej krwi. Młody Parnas walczył jako żołnierz polski pod Monte Cassino, a po wojnie wrócił do kraju chociaż nie o taką Polskę walczyli generał Anders i jego żołnierze. Ale wrócił do Ojczyzny, nie do ustroju.

Zbigniew Nowak

Szkoła Szeregowych Policji Państwowej w Mostach Wielkich

Mosty Wielkie leżą na starym trakcie komunikacyjnym wiodącym z Sokala do Lwowa, w połowie tej drogi, w odległości 24 km od Żółkwi i 50 km od Lwowa. Miasto zostało zlokalizowane na rzekę Rata (lewy dopływ Bugu). Początki osady sięgają odległych czasów, o czym świadczą liczne znaleziska archeologiczne. Mieszkańcy tej osady, zwanej pierwotnie Mostki, zajmowali się wypalaniem węgla drzewnych i wyrobem dziegiu, czego ślady pozostały do dziś w okolicznych lasach. Około XV wieku osiedliła się tam grupa Tatarów, zwłaszcza na prawym brzegu Raty, gdzie zachowały się do 1939 roku ulice Szejkowa, Tatarska i Krymska. Dzięki staraniom Stanisława z Tęczyna, starosty lubelskiego i bełskiego, król Zygmunt August nadał tej osadzie 23 lipca 1549 roku prawa miejskie i obdarzył licznymi przywilejami. Miasto otrzymało wówczas nazwę Augustów, jednak w dokumentach najczęściej spotyka się obie formy, wyrażane niekiedy formułą: Augustów alias Mosty. Dopiero pod koniec XVIII wieku, po przejściu miasta do zaboru austriackiego, ustaliła się obecna nazwa: Mosty Wielkie. W okresie I Rzeczypospolitej Mosty Wielkie należały do dóbr koronnych w województwie bełskim i pięczętowały się własnym herbem: na tarczy herbowej skrzyżowana siekiera ze strzałą.

Ważnym wydarzeniem dla rozwoju miasta było pobudowanie w 1864 roku przez Józefa Udryckiego, ówczesnego właściciela Mostów Wielkich, koszar dla wojska, dzięki czemu miasto stało się siedzibą garnizonu, w skład którego wchodziły: 55. Galicyjski Pułk Piechoty „Mikołaja I króla czarnogórskiego” oraz 1. Galicyjski Pułk Ułanów „Generała Brudermanna”. Obecność licznej grupy wojsk otworzyła miastu szanse rozwoju. Powstały szybko dalsze obiekty wojskowe, mieszkania dla oficerów, restauracje, sklepy, zajazdy, liczne warsztaty rzemieślnicze. W 1880 roku Mosty Wielkie liczyły 3800 mieszkańców, w tym 2010 wyznania grecko-katolickiego, 1300 wyznania mojżeszowego i 490 wyznania rzymsko-katolickiego. Każde z tych wyznań posiadało własne świątynie. W 1837 roku zbudowano nowy kościół parafialny rzymsko-katolicki pod wezwaniem

Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny, po pożarze w 1880 roku odbudowany i znacznie powiększony; w 1893 roku wzniesiona została nowa, okazała cerkiew grecko-katolicka pod wezwaniem Zwiastowania Przenajświętszej Bogurodicy; Żydzi modlili się w dwóch synagogach.

Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości w 1918 roku Mosty Wielkie weszły w skład województwa lwowskiego i powiatu żółkiewskiego. Liczyły wówczas 3795 mieszkańców. W mieście znajdował się sąd powiatowy, szkoła 7-klasowa żeńska i męska, poczta z telegrafem i telefonem, ochotnicza straż ogniowa, apteka, tartak, cegielnia, młyn parowy, rzeźnia, liczne zakłady rzemieślnicze i wytwórcze, rozbudowana sieć handlowa, kancelarie adwokackie i notarialne, gabinety lekarskie i dentystryczne. Poszczególne grupy narodowościowe posiadały własne instytucje kulturalne, takie jak „Proswita”, „Dom Polski”, „Towarzystwo Szkoły Ludowej” i inne.

Dla dopełnienia rysu dziejów Mostów Wielkich należy dodać, że po zajęciu miasta przez Armię Czerwoną we wrześniu 1939 roku nadano mu rangę siedziby władz rejonu. Okupacja niemiecka zapisała się całkowitą eksterminacją ludności żydowskiej. W 1943 i 1944 roku miały tam miejsce mordy ludności polskiej przez nacjonalistów ukraińskich, co zostało upamiętnione w 1996 roku okazałym pomnikiem, wzniesionym na cmentarzu w Mostach Wielkich. Ponowne zajęcie miasta przez wojska sowieckie w 1944 roku spowodowało wyjazd Polaków do ojczyzny w nowych granicach. Obecnie Mosty Wielkie liczą 5400 mieszkańców w tym około 80 rodzin polskich. Od niedawna przebywa tam ksiądz proboszcz, który odprawia nabożeństwa w małej kapliczce przydrożnej, gdyż kościół parafialny zamieniony został na piekarnię a starania o jego odzyskanie nie dają rezultatów.

W 1927 roku zapadła decyzja utworzenia w Polsce trzech szkół policyjnych: w Żyrardowie, w Piaskach pod Sosnowcem i w Mostach Wielkich. Ta ostatnia miała być najnowocześniejsza i wzorcową, o standardach europejskich. Miejsce dla niej wybrano nieprzypadkowo. W Mostach Wielkich zachowały się

w dobrym stanie liczne i obszerne zabudowania po garnizonie austriackim, rozlokowane w różnych miejscach. Wybrano te położone na południe od miasta, w lesie, po obu stronach szosy do Lwowa, w odległości około 2 km od rynku. Prace adaptacyjne rozpoczęto już w 1927 roku i po dwóch latach powstało osiedle przystosowane do przyjęcia 500 kandydatów na policjantów i 20 rodzin oficerskich. Po prawej stronie szosy znalazły się obiekty koszarowe dla 500 osób, wartownia, kuchnia, jadalnia, kantyna, kasyno oficerskie, kręgielnia, garaże, stajnie dla koni, strzelnica, boisko sportowe i główna brama wejściowa. Tam stał też w 1933 roku pomnik Józefa Piłsudskiego. Po lewej stronie szosy były rozlokowane sale wykładowe, sala gimnastyczna i widowiskowa, elektrownia, wieża ciśnień, warsztaty i mieszkania dla rodzin oficerskich. Nad rzeką Rataj urządzono kąpielisko z dwoma basenami i przystanią dla łodzi i kajaków. Całość otrzymała pięknie zaplanowaną i starannie utrzymaną małą architekturę (zieleńce, klomby, ozdobne krzewy, wewnętrzne drogi). Podziw mieszkańców Mostów Wielkich budziły elektrownia, wodociągi, kanalizacja z oczyszczalnią ścieków, gdyż tego rodzaju urządzeń wówczas w mieście nie było.

Obok prac remontowo-budowlanych prowadzone były działania zmierzające do przygotowania kadry dydaktycznej. Pierwszy kurs instruktorów rozpoczął się w Warszawie 20 kwietnia 1927 roku i trwał 10 miesięcy. Uczestniczyli w nim podoficerowie i oficerowie wytypowani przez komendantów wojewódzkich Policji Państwowej. Była to formacja pokoleniowa urodzona w czasie zaborów pod koniec XIX i w pierwszych latach XX wieku, wychowana w duchu patriotycznym, biorąca udział w pierwszej wojnie światowej. Wielu z nich służyło w Legionach, wielu zetknęło się osobiście z różnymi formami działalności niepodległościowej. Na kursie zapoznawali się z nowoczesnymi metodami i technikami czynności policji.

W drugiej połowie 1929 roku Szkoła Szeregowych Policji Państwowej w Mostach Wielkich rozpoczęła swą działalność. Kształcenie kandydatów odbywało się w turnusach pięciomiesięcznych. Na każdy turnus przyjmowano 500 kandydatów, zgrupowanych w 8 kompaniach. Rocznie więc przygotowywano do służby policyjnej 1000 kandydatów. Kadra oficerska pełniła funkcje dowódców kompanii i wykładowców. Była wspomagana przez miejscowych nauczycieli szkoły powszechnej, którzy uczyli historii, geografii, matematyki i języka ruskiego (ukraińskiego), ponieważ absolwenci tej szkoły byli kierowani do służby policyjnej przeważnie na tereny województw wschodnich.

Pierwszym komendantem Szkoły Policyjnej w Mostach Wielkich został podinsp. Julian Gottas, jego zastępcą był nadkomisarz Edmund Mühlner. Dowódcami kompanii byli w tym pierwszym okresie: kom. Józef Ostrowski, podkom. Adam Winnicki, podkom. Jan Szymkiewicz, podkom. Leon Polek, podkom. Ludwik Herchenreder, podkom. Piotr Borysewicz, podkom. Eugeniusz Janczyszyn i podkom. Antoni Haszczyński. Funkcje wykładowców wówczas pełnili: podkom. Marcin Zaton, asp. Maksymilian Jaśkowiak, asp. Stanisław Nowak, asp. Józef Kosiarski, nadkom. Michał Olendzki, podkom. Bronisław Sikorski, asp. Jan Broda, asp. Mikołaj Greczyło, asp. Józef Je-



Pierwsza kadra oficerska Szkoły Policyjnej w Mostach Wielkich (1930 r.).

lonek i asp. Jan Walesiński. Później, w wyniku zmian kadrowych, do grona dowódców kompanii i wykładowców dołączyli: nadkom. Aleksander Janisz, komisarze Gustaw Pikor, Józef Dziadecki i Franciszek Emil Hein, podkomisarze Tadeusz Soltys, Eryk Erben i Władysław Banasiak, aspiranci Józef Flondro, Józef Zawora, Marian Ślęzak, Wacław Matacz, Władysław Jaworski i Ludwik Kuźniar oraz por. Wojciech Staniszewski. Pierwszy komendant podinsp. Julian Gottas zmarł w 1936 roku. Po nim stanowisko to objął insp. Jan Schuch, którego z kolei z powodu przewlekłej choroby zastąpił w 1939 roku insp. Wiktor Dunin-Wąsowicz.

Podstawowym zadaniem Szkoły Policyjnej w Mostach Wielkich było przygotowanie fachowe kandydatów do służby policyjnej. W przeciągu pięciu miesięcy mieli oni opanować określone pensum wiedzy ogólnej, zawodowej i praktycznej. Program nauczania był obszerny i oprócz przedmiotów ogólnych obejmował: prawo karne, procedura karna, prawo państwowe i administracyjne, instrukcja służbowa, służba śledcza, ratownictwo, biurowość, medycyna sądowa, stowarzyszenia polityczne, musztra, strzelanie, władanie bronią, gimnastyka, ściganie i osaczanie przestępców, aresztowanie podejrzanych. Dlatego dzień w Szkole Policyjnej rozpoczynał się pobudką już o 5.00 rano a rozmaite zajęcia trwały do kolacji, którą spożywano o godzinie 18.00. W niedzielę był wspólny przemarsz do ko-

ściola na godzinę 9.00, po czym por. Wojciech Staniszewski, odznaczający się zainteresowaniami literackimi i dużym poczuciem humoru, prowadził lekcje „savoir-vivre” dla przyszłych policjantów, obejmujące m. in. zasady właściwego zachowania się przy stole. We wtorki i piątki czynna była biblioteka dobrze zaopatrzona w literaturę fachową i piśmiennictwo beletrystyczne, licząca ponad 3000 tomów, z której mogli też korzystać mieszkańcy Mostów Wielkich.

Zakończenie każdego turnusu odbywało się bardzo uroczysto. Rozpoczynało się od porannego przeglądu kompanii, następnie był wymarsz do kościoła z udziałem własnej orkiestry, po powrocie z kościoła wszystkie kompanie gromadziły się przed pomnikiem Józefa Piłsudskiego. Po przemówieniu komendanta Szkoły i delegata Komendy Głównej następowało wręczenie pamiątkowych zegarków dwom najlepszym uczniom i świadectw ukończenia kursu. Potem odbywała się defilada, podczas której oficerowie i szeregowi występowali z bronią, w hełmach i przy szablach. Po defiladzie w sali widowiskowej przeprowadzano „chrzest policjanta”, przygotowany inscenizacyjnie przez por. Staniszewskiego. W programie był ponadto pokaz musztry w szykach zwartych, pokaz rozpędzania tłumu, pokaz patrolu ścigającego i osaczającego bandytów, pokaz gimnastyki, boks, chwytów policyjnych, pokonywania przeszkód, rzutu granatem do leja i przez okno, strzelania do celów ruchomych i szermierki. Po zakończeniu pomyślnym kursu absolwenci otrzymywali przydziały do poszczególnych posterunków na terenie całego kraju.

Szkoła Policyjna w Mostach Wielkich była instytucją dużą, aktywną, widoczną z zewnątrz, odwiedzaną przez gości krajowych i zagranicznych, wywierała ogromny wpływ na życie miasta i zachowania wielu jego mieszkańców. Stanowiła dobre miejsce pracy dla osób z miasta i okolicy, zatrudnionych w kuchni, kasynie, warsztatach i przy pielęgnowaniu zieleni. Dostarczała intratnych zamówień dla piekarzy, rzeźników i innych dostawców. Dzięki niej dobrze prosperowali liczni sklepikarze i rzemieślnicy. Co roku przewijało się przez Szkołę 1000 osób i każda z nich otrzymywała i wydawała 45 zł miesięcznie. Do tego trzeba doliczyć wydatki rodzin oficerskich, korzystających z miejscowych usług i handlu. Wpływ Szkoły był też widoczny w sferze społecznej i kulturalnej miasta. Stamtąd wychodziły inicjatywy uroczystości i obchodów świąt państwowych 3 maja i 11 listopada. Do stałych elementów tych obchodów należały defilady, akademie, koncerty orkiestry policyjnej i seanse filmowe. W każdą niedzielę 8 kompanii policji maszerowało do kościoła, często z orkiestrą, niekiedy z bronią i w hełmach. To było przeżycie dla mieszkańców, ludzie wychodzili z domów, ustawiali się wzdłuż dwukilometrowej trasy przemarszu. Pożegnanie turnusu gromadziło tłumy mieszkańców na terenach Szkoły Policyjnej, pod pomnikiem Józefa Piłsudskiego i na boisku sportowym.

Policja brała udział w uświetnianiu świąt kościelnych, zarówno katolickich jak i grecko-katolickich (np. procesje Bożego Ciała, straż przy grobie Chrystusa). Święto święcenia wody w kościele grecko-katolickim (Jordan), ściągające nad rzekę Rataje tłumy wiernych, odbywało się w asyście kompanii policji, dowodzonej przez asp. Mikołaja Greczyłę, który był Ukraińcem.

Do imprez organizowanych przez Szkołę Policyjną włączali się członkowie organizacji „Strzelec”, rezerwiści, harcerze i zuchy. W sali widowiskowej odbywały się okolicznościowe akademie z udziałem mieszkańców miasta. Tam wyświetlano pierwsze filmy dźwiękowe budzące sensację. Stowarzyszenie „Rodzina Policyjna” urządzało doroczne bale karnawałowe w Domu Polskim, gromadzące miejscową elitę towarzyską. Jej staraniem odbywały się imprezy dla dzieci z okazji Św. Mikołaja. W lecie były urządzone festyny na polanie leśnej w pobliżu Szkoły Policyjnej. Podejmowano też próby inscenizacji teatralnych przy współpracy z nauczycielami szkoły powszechnej. Te i podobne działania kształtowały wzory kultury życia codziennego, obyczajowości i zachowań społecznych. Mieszkańcy Mostów Wielkich do dziś wspominają czasy, gdy w mieście była Szkoła Policyjna.

Wybuch drugiej wojny światowej zamknął dzieje Szkoły Szeregowych Policji Państwowej w Mostach Wielkich. Już 28 sierpnia 1939 roku większość oficerów otrzymała przydziały mobilizacyjne. Na miejscu pozostała tylko nieliczna służba wartownicza i rodziny policyjne. Kolejny kurs XVIII został odwołany. W toku działań wojennych w połowie września zatrzymała się w Mostach Wielkich grupa Policji Śląskiej. Gdy wojska niemieckie zbliżyły się do Lwowa, Policja Śląska i policjanci ze służby wartowniczej opuścili autobusami Mosty Wielkie, udając się w kierunku Czortkowa, a po agresji sowieckiej starali się przedostać na Węgry i do Rumunii. Wielu z nich wpadło do niewoli sowieckiej i ci zostali zamordowani. Taki los spotkał m.in. insp. Jana Schucha, podkomisarza Tadeusza Soltysa, Antoniego Haszczyńskiego, Jana Brodę i Józefa Jelonka, aspiranta Józefa Kosiarskiego, kilku podoficerów i szeregowych z Mostów Wielkich. W Rumunii znaleźli się m.in.



Kadra oficerska przed główną bramą Szkoły Policyjnej w Mostach Wielkich (1935 r.).

insp. Wiktor Dunin-Wasowicz, aspiranci Mikołaj Greczyło i Stanisław Nowak, podoficerowie Czop, Stysiński, Hlek i Panenka. Podkom. Ludwik Herchenreder przedostał się do Anglii. Losy wielu oficerów ze Szkoły Policyjnej w Mostach Wielkich są dotąd nieznane. Wszystkie rodziny policyjne z Mostów Wielkich zostały 13 kwietnia 1940 roku wywiezione do Kazachstanu, skąd tylko nieliczni zdołali powrócić do kraju.

Jak wygląda Szkoła Policyjna dziś? Zewnętrznie niewiele się zmieniła. Jadąc od strony Lwowa, po minięciu wsi Bojaniec i Stanisłówka, obserwujemy krajobraz sprzed pół wieku: naprzód wylania się wysoka sylwetka wieży ciśnień, potem po obu stronach drogi pojawiają się te same budynki, w tym samym ogrodzeniu, mocno już zniszczonym. Główne wejście pełni nadal tę samą funkcję, na placu apelowym w cieniu drzew na resztkach postumentu pomnika Piłsudskiego stoi teraz „tryzub”, godło Ukrainy. Budynki koszarowe i wykładowe, wartownia,

kuchnia i inne nie zmieniły wyglądu, ale służą obecnie ukraińskiemu wojsku służby granicznej. Na pokrywach studzienek kanalizacyjnych można jeszcze odczytać polskie napisy. Na tym samym miejscu jest boisko sportowe, lecz strzelnica została zdewastowana. Nie ma też śladów po kąpielisku na Racie.

Szkoła Szeregowych Policji Państwowej w Mostach Wielkich odeszła już do historii. Pozostały po niej nieliczne ślady zacierane przez czas. Miała swoje piękne i wielkie dni, godne przypomnienia i utrwalenia. Przypominając krótko jej dzieje i losy pragnę tym samym oczyścić z oszczerstw i zarzutów przedwojenną Policję Państwową, która dobrze zasłużyła się Rzeczypospolitej w latach pokoju, wojny i okupacji. Jest to nasz obowiązek wobec tych, którzy już odeszli „ad Patres” i sami nie przemówią, nie upomną się o zszargany honor i podeptaną godność w latach władzy komunistycznej. To się im, polskim policjantom, po prostu należy.

Zofia Wacek-Iwanicka

Pedagog, sportowiec, dziennikarz — profesor Rudolf Wacek

Pod koniec lat dwudziestych, radio trafiło także w daleki zakątek południowo-wschodnich Kresów, tam gdzie wśród karpaccich kniei skrył się polski dom pośród lemkowskich osad.

W niedzielne wieczory cała rodzina zgromadzona wokół głośnika radiowego wysłuchiwała wiadomości sportowych, które przekazywał prof. Rudolf Wacek ze studia we Lwowie.

Najmłodszy brat Rudolfa — Kazimierz, mój ojciec, zarządzał dużym obszarem lasów karpaccich właściciela barona Gróbla.

Tu często przyjeżdżał stryj Rudolf, którego bardzo kochaliśmy i szanowali, a ojciec mój traktował go z należytym starszemu bratu respektem. Stryj, zamilowany myśliwy, bywał tu przy okazji różnych polowań, przywoził ze sobą swoich przyjaciół, był naszym najmielszym gościem.

Cofnijmy się trochę w czasie. W drugiej połowie XIX w., kiedy to część Małopolski wschodniej pozostawała w zaborze austriackim, Lwów miasto wspaniałych ludzi, wesołych, życzliwych, przyciągało swoją atmosferą i kulturą. Przyjeżdżali tu z Węgier, Czech, Austrii. Tak też trafił do Lwowa mój dziadek Jan Wacek, Czech, który po ukończeniu Akademii Leśnej w Wiedniu, znalazł się w tym pięknym mieście. Tu spotkał polską szlachciankę pannę Bronisławę Dąbrowską. Z tego mariażu przyszło na świat trzech chłopców: najstarszy Rudolf, średni Józef, najmłodszy Kazimierz, który po ojcu przejął zawód, kształcąc się na Wydziale Leśnym Politechniki Lwowskiej w Dublinach.

Stryj Rudolf, urodzony 9.V.1883 r. w Starym Witkowie koło Lwowa, do szkoły ucze-

szczał w Toporowie. Gimnazjum ukończył w 1902 r. w Tarnopolu. Studia podjął na Uniwersytecie we Lwowie, gdzie na Wydziale Filozoficznym specjalizował się w naukach geografii i historii, które stanowiły podstawowe przedmioty studiów, zaś uzupełniające, tzw. wspomagające były języki: łaciński, grecki, niemiecki i polski.

Po śmierci ojca, a mego dziadka, jako najstarszy, stryj Rudolf przejął opiekę nad matką i młodszymi braćmi. Po studiach otrzymał etat w gimnazjum krakowskim na Podgórzu. Bardzo dobra opinia, którą się cieszył jako pedagog, sprawiła zapewne, że w latach 1909-1910 był wychowawcą synów arcyksięcia Habsburga w Żywcu, rekomendowany przez dyrektora gimnazjum dr Ignacego Kranza z równoczesną rekomendacją rektora Uniwersytetu Jana Kazimierza.



Od lewej: Rudolf, Kazimierz, Józef Wackowie.

Od 1913 roku, kiedy stryj zamieszkał we Lwowie, z miastem tym związał się pracą zawodową i działalnością dziennikarsko-sportową na stałe. Zaczął nauczać w II realnej szkole, która od 1923 r. otrzymała imię Jana i Jędrzeja Śniadeckich, jako XI państwowe gimnazjum przy ul. Szymonowiczów. Uczyl geologii i historii ciesząc się dużą sympatią i szacunkiem uczniów. Zwłaszcza jego lekcje geologii szczególnie interesowały młodzież, którą zapoznawał z pięknem nie tylko rodzinnej ziemi. Od najmłodszych lat przejawiał zamiłowanie do sportu. W latach kiedy rozpoczął pracę nauczycielską zaczął organizować dla młodzieży szkolnej wycieczki kolarskie oraz gry na wolnym powietrzu, przy panującej wówczas jeszcze opinii, że może to zaszkodzić zdrowiu młodzieży, Rudolf Wacek był wyznawcą wychowania fizycznego przez sport. Sam czynny i ruchliwy, w 1909 roku w ciągu tygodnia objechał rejon Tatr na rowerze, a po powrocie do Żywca opisał barwnie tę wyprawę w lwowskim „Słowie Polskim”. Był to początek jego pracy jako dziennikarza sportowego w tej gazecie, która trwała nieprzerwanie do 1933 r. Tuż przed wybuchem I wojny światowej ten miłośnik kolarstwa objechał Anglię i Skandynawię i tak powstała relacja o tej wyprawie w jego książce pt. „Po Anglii i Norwegii rowerem”. Wycieczek rowerowych nie przerwał w latach późniejszych. Swoje duże wyprawy kolarskie na półwysep Bałkański, do Włoch, Szwajcarii, Francji i Hiszpanii, jakie odbył w latach 1926-28, opisał w książce „Rowerem po Europie”. Był dobrym organizatorem. Stworzył silne podstawy organizacyjne i materialne dla przodującego przez długie lata w sporcie polskim klubu LKS „Pogoń”. Świadczy o tym fakt, że kiedy w okresie I wojny światowej inne kluby sportowe upadały — LKS „Pogoń” utrzymywał się, pozbywał długów a nawet świadczył pewne sumy na rozmaite cele dobroczynne i patriotyczne.

W ciężkim okresie lat 1914-1920, Rudolf Wacek był kuratorem sądowym lwowskiej „Pogoni”, z czym łączyło się wiele obowiązków. Z tego tytułu zajmował się sprawami gospodarczymi, finansowymi, oczywiście i sportowymi klubu. Jego staraniem w 1938 roku wydana została Księga Pamiątkowa LKS „Pogoń” Lwów, będąca świadectwem wspaniałej historii tej drużyny piłki nożnej (był głównym autorem tej publikacji). Zwycięskie mecze z klubami niemieckimi jakie rozegrała „Pogoń” na Górnym Śląsku przed akcją plebiscytową miały w konsekwencji duże znaczenie propagandowo-patriotyczne. Oczywiście wyprawę tej znakomitej lwowskiej drużyny zorganizował Rudolf Wacek. W 1922 roku został wydawcą i redaktorem naczelnym lwowskiego „Sportu”, czasopisma wysoko ocenianego przez fachowców. We Lwowie powołał też pierwsze Koło Dziennikarzy i Publicystów Sportowych, co dało później impuls do powstania ogólnopolskiego związku dziennikarzy i publicystów tej branży. Jako referent sportowy Polskiego Radia w każdą niedzielę przekazywał wiadomości sportowe. Chwalił dobre, ganił złe, uczył etyki sportu. Miał tylko 5-minutowe audycje, ale tak wiele zawsze powiedział o ważnych dla sportu sprawach.

W czasie okupacji Lwowa był czynny jako nauczyciel młodzieży polskiej w tajnym nauczaniu. Aby zachować konspirację nie uczestniczył w zajęciach grup, w których on wykładał. W roku 1944 po akcji „Burza” trudno nam było uwierzyć, że to już tak zostanie. Pewnego dnia żona stryja przybiegła z wiadomością, że stryj nie wrócił do domu. Szukały-

śmy go obie przez dwa dni chodząc od szpitala do szpitala. Znalazłyśmy go w końcu. Dla zabawy żołnierze Czerwonej Armii od tyłu najechali samochodem na jadącego na rowerze stryja i widząc, że spadł odjechali, śmiejąc się ze swego dowcipu. Pogotowie zabrało go nieprzytomnego z ulicy. Nie miał przy sobie dokumentów. Dopiero gdy odnalazłyśmy go, powiedziałyśmy kto jest poszkodowanym. Wówczas zajęto się nim sumiennie a my ze stryjenką dużurowałyśmy na zmianę przy nim nocami (moja matka już nie żyła). Uratowano go, ale do pełnego zdrowia i sił już nie wrócił.

W 1945 roku jesienią wyjechaliśmy wszyscy ze Lwowa. Rodzina stryja zamieszkała w Bytomiu. Stryj wrócił do zawodu pedagoga. Uczyl w gimnazjum i liceum ogólnokształcącym a potem w technikum górniczym. Zmarł 9.IX.1956 r. w Bytomiu i pochowany jest tam na cmentarzu Mater Dolorosa.

Był barwną, znaną postacią we Lwowie. Sportowiec i dziennikarz, pełen humoru odpowiedzialny wobec spraw i ludzi z którymi się spotykał i którymi kierował. Był dwa razy odznaczony złotymi krzyżami zasługi na polu wychowania fizycznego (w roku 1931 i 1935), posiadał złotą odznakę za zasługi dla kolarstwa polskiego nadaną mu w 1937 roku, a rok przed tym uhonorowano go przyznaniem pierwszej nagrody literacko-dziennikarskiej za publikacje sportowe.

Jak wspominałam, często przyjeżdżał do nas na polowanie. Moi rodzice gościli z całą serdecznością wszystkich swoich i stryja gości. To był jego drugi dom, tu czuł się świetnie, wśród pięknych krajobrazów Karpat i ich lasów. Skupiał młodych wokół siebie i uczył ich prawdziwego myślistwa. Miał tytuł „Łowczego okręgu lwowskiego” i był autorem pięknej książki „Knieje polskie”.

Przyjaźnił się z wieloma ciekawymi ludźmi, bywał w kawiarni „Szkockiej”. Wuj mojej matki, wybitny lwowski poeta Henryk Zbierzchowski poświęcił mu jeden ze swoich wierszy.

List do Wydawcy „Sportu”

Kochany Wacku! Gdys na swe ramiona
Wziął wydawnictwa ciężar tak niemały,
Niech Ci „Sport” służy tak jak wierna żona,
z którą się dzieli miłosne zapaly.

Lecz w tym wypadku (powiem to bez sromu),
Zawołaj śmiało: Na pomoc krajanie!
Im więcej będziesz miał przyjaciół domu,
Tym wasze stadło szczęśliwszym się stanie.

Bo wydawnictwo dzisiaj jest jak potwór,
O którym w bajkach tyle się słuchało,
Kładź mu co możesz w głodnej paszczy otwór,
A ono ryczy: Za mało!... za mało!

Przeto licz na nas niby na Zawiszę,
I zwierżaj ufnie wszystkie swoje troski,
Gdy zechcesz, zawsze darmo Ci napiszę.
Ściskam Ci łapę, Twój

Henryk Zbierzchowski

M. Rogalski

Kościół pw. Najświętszej Marii Panny w Buczaczu

Parafia rzym.-kat. w Buczacz, to jedna z najstarszych w Archidiecezji Lwowskiej, erygowana 28.07.1379 r. Fundatorem był Michał Habdank Buczański.

Kościół w Buczacz powstał prawdopodobnie na przełomie XIV i XV wieku, był budowlą kamienną, otynkowaną, jednonawową, z dwiema kaplicami po bokach i wieżą od frontu. Poważnym uszkodzeniom uległ w czasie oblężeń tureckich w 1672 i 1676 roku, ale już w rok później, w 1677 roku powstaje przy kościele szkoła, mająca swego rektora, a także szpital dla ośmiu chorych. Zniszczenia naprawiono w 1709-1710 roku, uzupełniono dekorację wnętrza, jednak po roku 1754 kościół uległ rozbiórce.

27.03.1761 roku, właściciel Buczacza, Mikołaj Bazyli Potocki, starosta Kaniowski, funduje nowy kościół parafialny. Poświęcenia dokonuje 14.08.1763 r. abp lwowski Wacław Sierakowski. W czasie I Wojny Światowej kościół ucierpiał z rąk żołnierzy rosyjskich. W okresie międzywojennym przeprowadzono remont kościoła, oraz wykonano nową bramę w murze kościelnym. W październiku 1945 r. kościół zamknięto! Został zamieniony na magazyn, a w piwnicach zrobiono kotłownię

centralnego ogrzewania dla miasta, czynną do dziś! Przez 40 lat dewastowany kościół udało się odzyskać dopiero w 1991 r.

Kościół położony po zachodniej stronie rynku miejskiego, u podnóża wzgórza zamkowego, nad rzeką Strypą. Murowany z kamienia, na rzucie krzyża, otynkowany i otoczony murem.

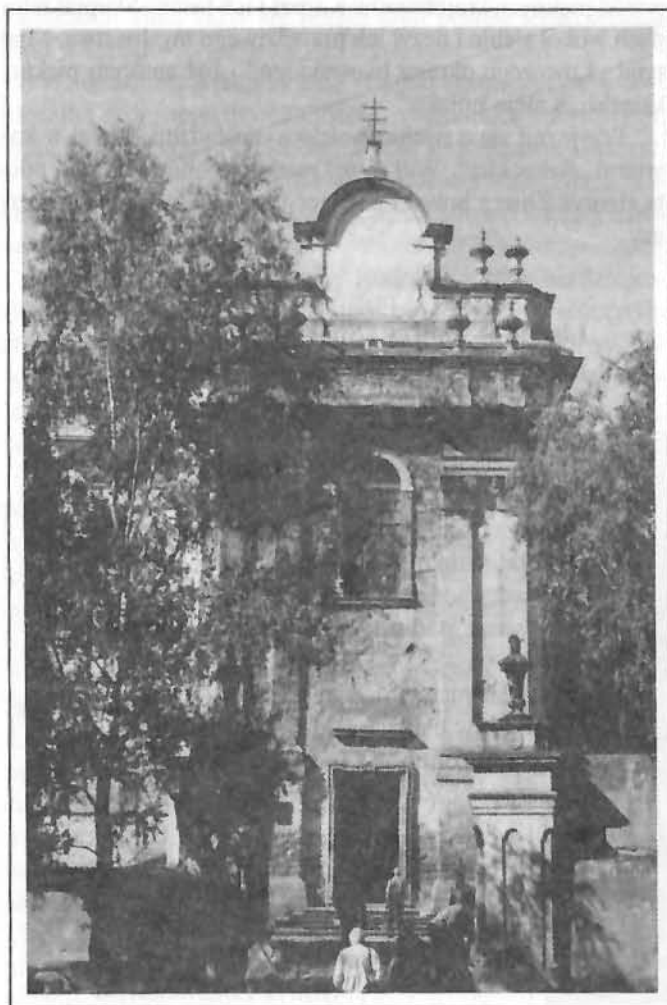


Zachowana tablica epitafijna we wnętrzu kościoła.
Fot. J. Morasiewicz.

Po bokach prezbiterium znajdują się dwie symetrycznie usytuowane przybudówki mieszczące zakrystię i kaplice. Zejście do krypt od zewnątrz. Okna prostokątne zamknięte półkoliście. Chór dostępny przez arkadowe przejście z górnej kondygnacji kruchty, wsparty na dwóch filarach z arkadami pomiędzy nimi.



Zachowana inskrypcja zamieszczona nad portalem u wejścia do kościoła. Fot. J. Morasiewicz.



Kościół NMP w Buczacz, fundacja z roku 1761.
Fot. J. Morasiewicz.

Balustrada solidna, przelamana ponad filarami tworzy na osi występ. Z zakrystii schodki na ambonę, schowane w grubości muru. Posadzka z płyt kamiennych. Środkowe pole fasady kościoła wypełnia portal, oraz prostokątne duże okno zamknięte półkoliście. Ponad portalem był: herb Pilawa w kartuszu i napis

(w 1994 roku) CHCĄC POTOCKICH PILAWA MIEĆ TRZY KRZYŻE CAŁE, DOM KRZYŻOWY NA BOSKĄ WYBUDOWAŁ CHWAŁĘ 1763". Dziś pozostał tylko napis. Dachy niskie, dwu i wielospadowe, kryte blachą. Na skrzyżowaniu nawy i transeptu, ośmioboczna wieżyczka na sygnaturkę z latarnią. Dobrze zachowana tablica epitafijna z czerwonego marmuru z napisem: „MARYANNA SOBIESZCZAŃSKA, STAROŚCINA CHREPTEJOWSKA W ROKU PAŃSKIM 1768

DNIA 7, KWIETNIA LAT LICZĄC 45. ZMARŁA W BUCZACKIM KOŚCIELE POCHOWANA PROSI O RATUNEK”.

Od 28 lutego 1991 r. proboszczem jest ks. infułat Ludwik Rutyna, który 24 sierpnia 1991 r. poświęcił kościół, w którym był chrzczony i w którym obchodził 50-lecie kapłaństwa. Mimo swych 80. lat jest pełen energii i własnymi rękoma przyczynia się do odbudowy kościoła.

Jarosław Leszczyński

Kościół w Podhorcach

W byłym województwie tarnopolskim, powiecie złoczowskim, na grzbiecie wzgórza pasma Woroniaku liczącego 399 m n.p.m., a stanowiącego dział wodny między zlewiskiem Bałtyku i Morza Czarnego leży wieś Podhorce. Znana jest głównie z późnorenesansowego pałacu Koniecpolskich, będącego monumentalnym zabytkiem z tego okresu i zamieszczonego we wszystkich poważniejszych opracowaniach historii sztuki polskiej. Znajduje się tam zabytek, może nie tak znany jak wyżej wspomniany, ale również wysokiej klasy, ze względu na oryginalność

Pisząc o kościele w Podhorcach warto kilka zdań wspomnieć o jego fundatorze. Wacław Rzewuski pełnił urząd hetmana wielkiego koronnego. Na swoim dworze stworzył przybytek nauk sztuk pięknych. W pałacu w Podhorcach gromadził dzieła sztuki i pamiątki narodowe. Utrzymywał kapelę i grupę dramatyczną, która odgrywała w teatrze zamkowych tragedie i komedie przez niego pisane. Za patriotyczną postawę został w 1767 roku z rozkazu ambasadora Rosji — Mikołaja Repnina — wraz z synem Józefem i innymi senatorami wywieziony do Kalugii.

Kościół jest budowlą niewielkich rozmiarów, zbudowaną na planie zbliżonym do rotundy, posiadającą cechy przejściowe baroku i klasycyzmu. Swoją sylwetką przypomina w pomniejszeniu bazylikę św. Piotra w Watykanie. Elewację fronto-



Podhorce — d. kościół rzymskokatolicki pw. Podwyższenia Św. Krzyża. Fot. J.T. Leszczyński.

nalność formy i z faktu, że jest on jakby uzupełnieniem tego pierwszego, gdyż położony jest na osi jego frontu. Jest nim dawny kościół rzymskokatolicki p.w. Podwyższenia św. Krzyża. Obecnie jest nie użytkowany, ponieważ we wsi nie ma już Polaków. Kościół został zbudowany w latach 1756-1763 z fundacji ówczesnego właściciela Podhorzec, hetmana Wacława Rzewuskiego. Przy budowie kościoła pracowali miejscowi robotnicy. Wystrój wnętrza był dziełem polskich malarzy, takich jak Franciszek Smuglewicz i Szymon Czechowicz.



Podhorce — figura M.B. Niepokalanej. Fot. J.T. Leszczyński.

wą kościoła tworzą dwa szeregi kolumn korynckich, po osiem w każdym szeregu, podtrzymujących belkowanie o frontonie w formie trójkąta równobocznego. Fasadę wieńczy attyka z siedmioma posągami świętych, patronów rodziny Rzewuskich. Rzeźb tych było osiem, ale w trakcie jego nieużytkowania jedna zginęła. Górną część świątyni stanowi kopuła pokryta miedzianą blachą, zwieńczona latarnią z krzyżem. Bęben kopuły posiada osiem podłużnych okien w górnej części zakończonych półkoliście. Pola między oknami zdobione są podwójnymi pilastrami o zakończeniach w stylu korynckim.

Nie mniej atrakcyjnym od bryły kościoła było jego wnętrze, obecnie poważnie zdewastowane. Przed 1945 rokiem w ołtarzu głównym znajdował się obraz Szymona Czechowicza przedstawiający św. Józefa i Podwyższenie św. Krzyża. Zachowała się natomiast polichromia przedstawiająca motywy aniołków, zniszczy z płonącym ogniem, zaś w górnych częściach wnęk okiennych możemy oglądać dekoracje stiukowe o motywach roślinnych. Bogatą dekorację posiada kopuła podzielona ośmioma żebrami biegnącymi w formie promieni od latarni do bębna na tyleż jednakowej wielkości pól. Dolną część każdego takiego pola stanowi malunek przedstawiający wazon wypełniony owocami. Ponad wspomnianymi wazonami ułożone są okrągłe medaliony z głowami proroków Starego Testamentu, a powyżej nich dekoracje stiukowe o motywach geometryczno-roślinnych utrzymane w kolorze białym na czerwonym tle. Aktualnie ściany wnętrza podparte są rusztowaniami.

Po lewej stronie fasady kościoła stoi niewielkich rozmiarów dzwonnica będąca jakby miniaturką rzymskiego łuku triumfalnego.

Oś fasady kościoła stanowi aleja prowadząca do pałacu. Symetrycznie do niej — po przeciwnej stronie drogi wiejskiej przy której stoi kościół, na trawiastej murawie — wnoszą się dwie wyniosłe kamienne figury współczesne opisywanej świątyni i stanowiące niejako uzupełnienie tej kompozycji przestrzennej. Zewnętrzna forma każdej z figur jest dość oryginalna. Podstawę stanowi czterostopniowy cokół o rzucie poziomym w kształcie kwadratu. Na cokole ustawiony jest postument, z którego wychodzi kolumna zakończona kapitelem jońskim. Ponad kapitelami znajdują się formy będące odpowiednikami belkowań w portykach kolumnowych, składających się z architrawu, fryzu i gzymsu. Na nich to dopiero ustawione są posągi. Figura stojąca po lewej stronie alejki (patrząc od strony pałacu na kościół) przedstawia Matkę Bożą Niepokalaną, zaś przeciwległa jej odpowiedniczka — św. Józefa.

Trudno dziś powiedzieć jakie będą dalsze losy tej oryginalnej podhoreckiej świątyni. Skoro we wsi nie ma już Polaków, a Ukraińcom wystarcza dla ich potrzeb religijnych miejscowa cerkiew, mogłaby ona wraz z pałacem (aktualnie mieści się tam sanatorium przeciwgruźlicze) zostać odnowiona i zaadaptowana na cele muzealne stanowiąc część składową zespołu. Oba obiekty są bowiem znakomitą świadectwem minionej potęgi i chwały Rzeczypospolitej Obojga Narodów.

Ludzie lwowskiej AK

Jerzy Gardynik urodził się w rodzinie wojskowej. Ojciec jego Michał poległ 17 września 1939 r. w bitwie pod Lelechowką (koło Janowa Lwowskiego), walcząc w armii gen. Sosnkowskiego.

Jako 17-letni młodzieniec Jerzy Gardynik zgłosił się ochotniczo do obrony Lwowa w 1939 roku. Był żołnierzem 1. kompanii harcerskiej porucznika Zbigniewa Czekańskiego wchodzącej w skład pułku obrony Lwowa dowodzonego przez podpułkownika Grefnera. Brał udział w walkach w rejonie Holońska. Od października 1939 r. do marca 1940 roku był żołnierzem harcerskiej organizacji wojskowej działającej wówczas pod nazwą POWW (Polska Organizacja Walki o Wolność). Został zastępowym w grupie harcerskiego wywiadu wojskowego, której powierzono obserwację wojsk sowieckich stacjonujących w kleparowskiej dzielnicy, a zwłaszcza 236 pułku wojsk konwojowych NKWD. Po rozbiciu i aresztowaniu struktur kierowniczych POWW uzyskał kontakt ZWZ majora Dobrowolskiego i wszedł w nowe struktury wywiadowcze i dywersyjne. Skończył szkołę podchorążych rezerwy AK Lwów-Zachód. W czasie akcji Burza dowodził jako plutonowy podchorąży plutonem AK, walcząc w rejonie Skniłowa, Sygniówki i ulicy Gródeckiej. W grudniu 1944 roku już jako podporucznik został komendantem Rejonu I Dzielnicy Lwów-Zachód w postakowskich strukturach wojskowych organizacji NIE (Niepodległość). Aresztowany w marcu 1945 roku przez NKWD został skazany przez sowiecki sąd wojskowy na 10 lat pracy przymusowej w odległych rejonach ZSRR i 5 lat późniejszej zsyłki. Przekazany w czerwcu 1945 roku do obozu przesyłowego znajdującego się we Lwowie przy ul. Peltewnej nawiązał kontakt

z działającą tam polską organizacją podziemną. Wówczas dowiedział się, że NKWD zaliczyło go do kategorii więźniów szczególnie niebezpiecznych dla sowieckiej władzy podlegających rozstrzelaniu w wypadkach szczególnych takich jak wybuch konfliktu światowego lub bunt, strajki i powstania w lagrach lub więzieniach. Próbowano zorganizować mu ucieczkę, do której nie doszło ze względu na wcześniejsze wywiezienie go do Workuty (we wrześniu 1945 r.). W Workucie początkowo bardzo ciężko pracował przy noszeniu szyn, a po stracie sił przy odgarnianiu śniegu. Wyniszczony fizycznie skierowany został na kursy geologiczne, po ukończeniu których pracował w dziale badawczym tamtejszego zarządu geologicznego. Szkolony był dodatkowo przez specjalistów-geologów i zajął się opisem petrograficznym węgla w Workucie, co uratowało mu życie. Uczestniczył bowiem w obozowym polskim życiu podziemnym. Przy opracowywaniu przez niego spisu Polaków przebywających na Workucie został zadenuncjowany przez



Jerzy Gardynik jako więzień obozu „Rieczlag” w Workucie.



Jerzy Gardynik, rok 1996.

agentów podających się za rzekomych Polaków. Owe spisy były przekazywane drogą radiową do Londynu przez jednego z cichociemnych — oficerów łączności radiowych w Workucie. Ludzie ci odpowiednio przeszkoleni byli zobowiązani do utrzymywania łączności radiowej nawet w warunkach ekstremalnie ciężkich i potrafili sami zbudować nadajnik. Tą drogą radio BBC rozpowszechniało

w eterze uzyskane wiadomości obozowe i spisy więźniów.

Jerzy Gardynik mimo, że był jednym z nielicznych specjalistów został aresztowany. W związku z tym wstrzymano prace przy opisie petrograficznym i badaniach chemicznych prób węgla z wierceń workuckich, co pociągało w konsekwencji straty finansowe. Mając to na uwadze wypuszczono J. Gardynika

z więzienia pod warunkiem szybkiego przeszkolenia nowego specjalisty. Po kilku miesiącach skierowano go do specjalnego obozu „Rieczlag” w Workucie, w którym w razie konfliktu wojennego wszyscy więźniowie mieli ulec fizycznej likwidacji. Jednakże po śmierci Stalina i strajkach w Workucie, w związku z likwidacją gułagowskiego imperium J. Gardynik w sierpniu 1955 r. wrócił do Polski.

Od listopada 1955 roku pracował na Górnym Śląsku w biurach projektów przemysłu węglowego jako kierownik zespołu geologicznego. Był aktywnym działaczem Solidarności.

Na początku stanu wojennego Jerzy Gardynik został represyjnie zwolniony z pracy i działał dalej w podziemnych strukturach Solidarności, pracując w grupie łączności między Górnym Śląskiem a Warszawą. Był kilkakrotnie zatrzymywany przez SB. Kierował grupą inicjatywną, która założyła Towarzystwo Miłośników Lwowa w Gliwicach i pełnił kolejno funkcje wiceprezesa (od roku 1989), a następnie prezesa Gliwickiego Oddziału TMLiKPW poświęcając swoje siły przede wszystkim akcji pomocy Polakom na Kresach Płd.-Wschodnich II RP.

Obecnie zajął się dokumentowaniem swojej działalności konspiracyjnej.

(S.J.)

Kresowi kapłani

Janina Hrycekowa

Ks. Piotr Stanoszek

Ks. Piotr Stanoszek urodził się 22 lipca 1892 roku we wsi Rudna, pow. lwowski parafia Zimna Woda. Miał siedmioro rodzeństwa. Do szkoły powszechnej uczęszczał naprzód w rodzinnej miejscowości a następnie we Lwowie. Tutaj również ukończył IV gimnazjum przy ul. Nikorowicza. Po złożeniu egzaminu maturalnego wstąpił do Wyższego Seminarium Duchownego we Lwowie, ale studia przerwał mu wybuch I wojny światowej. Wkrótce, bo już w sierpniu 1914 roku został ze Lwowa wysłany do Trembowli, gdzie pracował jako sanitariusz w szpitalu wojskowym. Po zajęciu miasta przez Rosjan z grupą innych kleryków został wywieziony do Tomska na Syberii. W 1918 roku powrócił szczęśliwie do Lwowa i po odzyskaniu przez Polskę niepodległości kontynuował studia na Wydziale Teologicznym Uniwersytetu Jana Kazimierza.

Pierwszą pracę teologiczną podjął w parafii Brzeziny koło Kielc. Jednak po kilku miesiącach wrócił do archidiecezji lwowskiej i pracował najpierw w Podhajcach a następnie w Złoczowie. W 1925 r. został przeniesiony do Przemyślan. Ta parafia, miejsce i ludzie była mu szczególnie bliska, co wyrażało się niezwykle silną więzią, jaka przez wiele lat, również po II wojnie światowej łączyła go z jego dawnymi parafianami.

Ten gorliwy duszpasterz założył w Przemyślanach prężnie działające Stowarzyszenie Młodzieży Katolickiej a z pomocą ks. Zygmunta Mikluski zorganizował chór żeński, którego działalność znana była szeroko w archidiecezji lwowskiej. Ciężkie czasy okupacyjne ks. Piotr Stanoszek przeżył w Przemyślanach, służąc parafianom i wszystkim szukającym oparcia z wielkim poświęceniem i narażeniem życia. Kiedy w 1944 r. banderowcy zbierali swoje krwawe żniwo (np. pod Przemyślanami za-

mordowany został 14 II 1944 r. ks. St. Kwiatkowski, proboszcz parafii w Swirzu) z żalem i ciężkim sercem wyjechał kilka miesięcy później na Ziemię Zachodnią, udając się tam wraz z parafianami zmuszonymi do opuszczenia swej ojcowizny i dorobku całego życia.

Ks. Stanoszek duszpasterzował najpierw w Strzelcach Opolskich a następnie objął parafię Sciborzyce Małe, potem Kłodnicę. W 1967 r. wstąpił do zakonu oo. Paulinów. Po złożeniu ślubów w Leśnej Podlaskiej pracował tam do 1970 roku. Stamtąd przeniesiony został do klasztoru oo. Paulinów w Leśnio-



Spotkanie Przemyślan, 1995 r.
Od lewej: prof. dr hab. A. Hrycek, Janina Hrycekowa, ks. Piotr Stanoszek, ks. Piotr Smółka, ks. Henryk Szymusik.

wie, gdzie z małą przerwą, przebywał do końca życia. Uczyl w nowicjacie łaciny i greki.

W wielkim przywiązaniu ks. Piotra do drogich mu rodaków z Przemyśla świadczy fakt, że podjął się trudu zorganizowania na Jasnej Górze spotkań parafian z Przemyśla i okolic (w 1982 i 1984 roku) a liczył już przeszło 90 lat. W 1995 przy wydatnej pomocy mgr. inż. Zygmunta Borowca zorganizował ostatnie takie spotkanie. Nie zważając na trudy i swój wiek odbył kilka razy podróż do Przemyśla, podnosząc na duchu pozostałych tam nielicznych rodaków, którzy czynili staranie o odzyskanie swego zabytkowego (1665) kościoła. Zmarł w Leśniowie

16 V 1996 r. Pozostanie na zawsze w naszej pamięci jako gorliwy kapłan i szlachetny człowiek, zawsze pogodny, odznaczający się poczuciem humoru, którego skromność osobista i prostota życia zjednywała mu wszystkich, którzy go znali.

Tak go wspominał ks. dr St. Bizuń wicedyrektor Seminarium Duchownego we Lwowie, kiedy dotarł z trudem do Przemyśla w ciężkim czasie okupacji w styczniu 1941 roku: „Kochany ks. Piotr Stanoszek, mój dawny przyjaciel przyjął mnie bardzo serdecznie. Nie tylko mogłem się umyć... ale oczywiście zaprowadził mnie do ołtarza a potem solidnie nakarmił”. (cytat z „Historia krzyżem znaczone” Lublin 1994, s. 99).

Kazimierz Wesołowski

PATRON LWOWA

Dukla — miasteczko położone na słynnej przełęczy, przeryniającej Karpaty a łączącej niegdyś Węgry a dziś Słowację z Polską. Tu w 1414 roku urodził się błogosławiony Jan zwany Janem z Dukli, który całe życie zakonne spędził we Lwowie. Miasteczko to było dawniej bardzo zamożne, gdyż wspomnianą przełęczą szedł główny trakt handlowy. Można z tego wnosić, że i rodzice błogosławionego Jana, Jan i Katarzyna korzystali z ogólnej zamożności Dukli. Rokującego wielkie nadzieje syna, oddali do szkół krakowskich. Gdzie się uczył w Krakowie, nie wiadomo. Po nabyciu niezbędnych wiadomości opuścił Kraków, kierując swe kroki ku rodzinnym stronom.

Lecz zamiast w progi rodzinne, udał się na puszcę góry Cergowej a potem Zaśpitu, gdzie przez trzy lata wiodł życie pustelnicze. Po dzień dzisiejszy istnieją dwa źródła, jedno na Zaśpiciu, z drugie na Cergowej, u których błóg. Jan gasił pragnienie, a które odtąd nabrały cudownych właściwości. Po trzech latach błóg. Jan z Dukli wstąpił do Franciszkanów Konwentualnych w Krośnie, skąd z listami polecającymi odesłano go do Lwowa. Tutaj otrzymał habit, tu odbył nowicjat i tu złożył śluby zakonne. Po wyświęceniu go na kapłana powierzono mu później godność gwardiana w Krośnie i Kustosza we Lwowie. W owym czasie w zakonie Św. Franciszka powstał formalny rozdział na dwa kierunki: łagodniejszy i ostrzejszy. Zwolenników kierunku łagodniejszego nazywano Konwentualnymi, zaś zwolenników kierunku ostrzejszego — Obserwantami, czyli Bernardynami.

Serce Św. Jana z Dukli rwało się do surowszego odłamu, toteż po osiedleniu się o.o. Bernardynów we Lwowie, opuścił klasztor św. Krzyża i wszedł w progi drewnianego jeszcze klasztoru św. Andrzeja na Halickim Przedmieściu. Błóg. Jan zdobył szybko imię znakomitego i natchnionego kaznodziei, a kazania głosił w języku polskim, ruskim i niemieckim. Sława jego świętości rozeszła się w szeroki świat. Ale nie tylko różami usłane było życie błóg. Jana. Na starsze lata całkowicie utracił wzrok. Do kalectwa tego dołączyły się inne jeszcze choroby.

Zmarł 20 IX 1484 roku, przeżywszy 70 lat, Jego kult religijny szybko wzrastał, a społeczeństwo Lwowa rozentuzjasmowane łaskami i cudami wołało o beatyfikację swego wielkiego patrona i cudotwórcy.



Błóg. Jan z Dukli (rycina z 1732 r.
Reprodukcję przysłała p. Helena Leska z Gdańska).

Dopiero 17 I 1733 roku doczekano się potwierdzenia jego kultu przez papieża Klemensa XII, zaś patronem Polski i Litwy został ogłoszony w 1739 roku. Do wzrostu czci błóg. Jana przyczynił się przykład naszych królów. Jego grób odwiedził Zygmunt III, Jan Kazimierz, Michał Korybut Wiśniowiecki i Jan III Sobieski. Gorącymi czcicielami św. Jana byli nasi sławni hetmani: Jan Zamojski, Stanisław Żółkiewski i Karol Chodkiewicz.

Pamiętne zwycięstwo pod Chocimiem, powszechna opinia przypisuje także błóg. Janowi, który był czczony jako patron w walkach z Turkami i Tatarami. W 1648 r. dzikie watahy Kozaków Chmielnickiego, wspomagane przez hordy Tatarów Tuhaj-beja, podeszły pod mury Lwowa, żądając

poddania się. Bohaterski gród Lwa odmówił temu żądaniu. Wrogowie spalili przedmieście Halickie i przypuścili szturm na klasztor o.o. Bernardynów, którego jednak nie zdobyli.

W tych strasznych chwilach lwowianie nie zapomnieli o moim patronie błog. Janie z Dukli. Do niego poczęto wołać o pomoc i ratunek.

Wśród ciemnej nocy, jak mówi legenda, zjawił się w jasnej aureoli nad kościołem o.o. Bernardynów. W zjawisku tym widziano zapewnienie, że błog. Jan z Dukli nie dopuści do zdobycia miasta. Podobno zjawisko to zauważono także w obozie wroga, w związku z czym podjęto decyzję o wycofaniu się spod Lwowa. W podzięce za ten cud, odbyła się uroczysta procesja po ulicach Lwowa, do grobu błog. Jana, gdzie złożono wotum w imieniu całego miasta. Jan Matejko poświęcił temu wydarzeniu swoje dzieło pt. „Chmielnicki i Tuhaj-bej pod Lwowem”, na którym uwiecznił postać błog. Jana z Dukli broniącego Lwowa.

O tym cudzie i opiece nad Lwowem świadczył również piękny pomnik św. Jana stojący niegdyś przed kościołem OO. Bernardynów. Na murowanej tablicy u dołu widniał taki napis: „Miasto Lwów, za przyczyną bł. Jana z Dukli w r. 1648 cudownie uwolnione od oblężenia Bohdana Chmielnickiego i Tuhaya-beya, chana tatarskiego, pomnik ten wystawilo r. 1649, staraniem zaś OO. Bernardynów ze składek pobożnych odnowiony i ozdobiony został r. 1861”.

Druga sowiecka okupacja Lwowa przyniosła zniszczenie tego pięknego monumentu.

Relikwie błog. Jana przewieziono w 1946 r. do Rzeszowa, dopiero w 1954 r. zostały uroczystie przetransportowane do Jego rodzinnej Dukli i tam umieszczone w kościele OO. Bernardynów.

Lwowiacy pełni wdzięczności dla Ojca Świętego Jana Pawła II za kanonizację patrona Lwowa błog. Jana z Dukli proszą go o opiekę nad Lwowem.

Leszek Mulka

Klub TMLiKPW w Oleśnicy

Jednym z pierwszych klubów TML, które powstały w roku 1988 zaraz po pamiętnym zjeździe lwowiaków we wrześniu 1988 r., jest Klub w Oleśnicy. Klub został utworzony 17 grudnia 1988 r. i od momentu powstania należał do najbardziej aktywnych na Dolnym Śląsku. Aktualnie Klub liczy ponad 100 członków, co na takie miasto jak Oleśnica jest liczbą znaczną.



Prelekcja prof. dr. hab. Jana Miodka o gwarze lwowskiej i kresowej.

Działalność Klubu skupiała się przede wszystkim na przypominaniu i upowszechnianiu wiedzy o Lwowie i Kresach oraz ich historycznej i kulturowej roli w dziejach Polski. Znajdowało to swój wyraz w organizacji bardzo wielu imprez kulturalnych o lwowskim charakterze, dostępnych nie tylko dla członków Klubu, ale także dla ogółu mieszkańców Oleśnicy. Należały do nich

występy zespołów teatralnych i muzycznych, prelekcje i spotkania ze znanymi lwowiakami oraz różnego rodzaju wystawy prezentujące dawną i współczesną kulturę Lwowa i Kresów.

Właśnie wystawy, organizowane w Galerii Miejskiej w Oleśnicy, stały się specjalnością Klubu. Do najciekawszych należały: wystawa fotograficzno-etnograficzna „Polesie — zaginione krajobrazy” autorstwa Kazimierza Miedzińskiego, wystawy fotograficzne Zdzisława Zielińskiego „Architektura starego Lwowa” i „Kamień na kamieniu...”, wystawa fotograficzna „Obrońcom Lwowa” i ostatnio wystawa grafiki „Zabytki architektury na daw-



Prezes Klubu p. Leszek Mulka wręcza dyplom Honorowego Członka TML i KPW mgr. Jerzemu Macińskiemu, dyrektorowi MOKiS w Oleśnicy.

nych Kresach Wschodnich II Rzeczypospolitej". Szczególnie interesującą była wystawa „Ekslibris lwowski 1901-1945”, której towarzyszył unikatowy katalog eklibrisów z tego okresu wydany staraniem Klubu TML w Oleśnicy.

W oleśnickim Klubie gościli państwo Dzieduszyccy, niezapomniany lwowski bard Jurciu Michotek, Wrocławska Wesoła Fala i rozśpiewana Ania Damm. Grała kapela „Lwowskie batiary” z Zielonej Góry i słynna Kapela Przemyska. Śpiewał dwukrotnie chór HARFA. Furorę wśród oleśniczan zrobiła PACAŁYCHA z uroczą Danusią Skalską oraz LWOWSKI BAJBUS z Częstochowy z pełną energią Jadzią Różańską. Nie zabrakło w Oleśnicy także aktorów z Teatru im. Wojciecha Bogusławskiego z Kalisza, którzy wystawili w sali widowiskowej Miejskiego Ośrodka Kultury i Sportu w Oleśnicy jubileuszowy spektakl Wojciecha Dzieduszyckiego „Tylko we Lwowie”.

Na podkreślenie zasługuje również przyjęcie zaproszenia przez prof. dr. hab. Jana Miodka, jednego z najwybitniejszych znawców języka polskiego i wygłoszenie przez niego prelekcji na temat gwary lwowskiej i kresowej.

W roku 1991 Klub nawiązał współpracę z Miejską Biblioteką Publiczną w Oleśnicy, wynikiem której było utworzenie „działu lwowskiego”. Aktualnie dział ten liczy 170 książek o tematyce lwowskiej i kresowej oraz posiada kompletne roczniki „Semper Fidelis”, „Na Rubieży” i „Gazety Lwowskiej”.

Znaczny jest udział Klubu TML w Oleśnicy w pomocy udzielanej Polakom na Wschodzie. W ostatnich dwóch latach Klub przekazał na ten cel kwotę 1550 zł.

Od lat oleśnicki Klub współpracuje z wrocławskim klubem LEOPOLIS, którego przedstawiciele wielokrotnie uczestniczyli w spotkaniach i imprezach odbywających się w Oleśnicy. Częstym gościem Klubu był także wiceprezes Zarządu Głównego TMLiKPW Emil Teśluk.

Należy podkreślić, że działalność Klubu TML w Oleśnicy nie ogranicza się do „własnego podwórka”, ale ma szerszy wymiar. Klub działa bowiem na rzecz całej społeczności lokalnej i dzięki temu ma znaczący udział w życiu kulturalnym Oleśnicy, co jest zauważane i doceniane przez władze miasta.

Tak szeroka i owocna działalność Klubu była możliwa dzięki znakomitej współpracy z Miejskim Ośrodkiem Kultury i Sportu w Oleśnicy, a szczególnie bardzo życzliwym dla Towarzystwa dyrektorem MOKiS Jerzym Macińskim, który za wybitny udział w działalności i rozwoju Towarzystwa otrzymał dyplom Członka Honorowego TML i KPW.

Całkiem niedawno, w lutym 1997 r. w Klubie TML w Oleśnicy odbyły się kolejne wybory do Zarządu Klubu. Już po raz trzeci na prezesa Klubu został wybrany Leszek Mulka.

Adam Lewicki

Sprawiedliwości stało się zadość

Sprawę bezpodstawnego i oszczerczego zarzutu wobec mnie, którego dopuścił się prof. Jerzy Węgierski oraz p. Onufry Kuźniar przedstawiłem środowisku Czytelników „Semper Fidelis” w numerze 4/96. Czekalem 8 miesięcy, by prof. Węgierski i p. Kuźniar zachcieli, jak napisałem wówczas „dla pamięci wspólnej walki w szeregach AK odwołać i przeprosić mnie za oszczercze pomówienia”. Nie uczynili tego z powodu tylko im znanego. Gdyby to uczynili, byłbym, powodując się dobrem środowiska III Obszaru Lwowskiego AK, wycofał pozew, złożony do Sądu Wojewódzkiego w Krakowie, który wniosłem 22.04.1994 r. w sprawie pomówienia mnie o współpracę z UB. Myślałem, że skłoni ich do tego orzeczenie Sądu Koleżeńskiego ŚZZAK Okręgu „Małopolska” w Krakowie jako sądu wyznaczonego przez Zarząd Główny ŚZZAK w Warszawie, które oczyściło mnie z wszelkich zarzutów. Natomiast prof. Węgierski otrzymał karę upomnienia, mając na uwadze, jak stwierdzono w werdykcie, że „...jest wysoce inteligentny i wykształcony... stąd nie można było przyjąć, że nie zdawał sobie sprawy z następstw pomówień”. Co prawda, prof. Węgierski stwierdził na piśmie, że obie instancje, tj. Zarząd Główny ŚZZAK, jak i Sąd Koleżeński w Krakowie, są niekompetentne w zakresie orzeczenia w tej sprawie i nie stawiał się na żadną rozprawę. Tymczasem po 2. latach zapadł wy-

rok w Sądzie Wojewódzkim w Krakowie, który mnie również uwolnił od wszelkich podejrzeń. Na mocy tego wyroku prof. Węgierski i Onufry Kuźniar zobowiązani zostali wywieść w widocznym miejscu w siedzibie ŚZZAK Środowiska Lwowskiego i Okręgu „Małopolska” w Krakowie odpowiednie ogłoszenie podpisane przez obu o następującej treści: „Przepraszamy p. Adama Lewickiego za niezgodne z prawdą pomówienie Go o czyny i zachowanie uwłaczające godności i honorowi żołnierza Armii Krajowej, a wszelkie w tej mierze postawione Mu zarzuty odwołujemy jako nieprawdziwe”.

W całej tej smutnej i kompromitującej historii wyrazić należy chyba wielkie zdumienie, że prof. Węgierski, który jako jeden z pierwszych podjął się opisania dziejów lwowskiej AK w sposób zupełnie niezrozumiały rzuca oszczerstwa nie tylko na mnie, ale także na wielu bardzo zasłużonych działaczy AK w czasie konspiracji jak: płk. Sokołowski, mjr. Klotza, ppłk. Mroźka i innych.

Natomiast „Manipulując faktami stara się za wszelką cenę uniewinnić zdrajcę ppłk. Macielińskiego, wbrew dokumentom zawartym w I i II tomie „Armia Krajowa w dokumentach 1939-1945”, podważając tym samym autorytet Sądu, Głównego Dowództwa ZWZ oraz gen. Ro-weckiego, który ten wyrok zatwierdził.

Wczoraj, dziś, jutro

— Notatnik kresowy

Kresowiaci w Kanadzie

Wojna rozruciła Polaków po całym świecie. W większości byli to Kresowiaci, którzy utracili swoje małe ojczyzny na Kresach II Rzeczypospolitej. Zostali na Zachodzie, bo nie mieli dokąd wracać. Sporo ich osiedliło się w Kanadzie. Choć daleko od ojczyzny, nie zapomnieli jednak o niej, o swoich korzeniach.

W 1958 r. Kresowiaci utworzyli Związek Ziem Wschodnich Rzeczypospolitej Polskiej w Kanadzie, by w nim razem dokumentować swój patriotyzm i miłość do utraconej ojczyzny, kultywować tradycje kulturalne i zwyczaje kresowe. Członkiem ZZW mógł i może zostać nie tylko Kresowianin, lecz każdy kto jest zainteresowany przeszłością i przyszłością ziem kresowych.

Cele i program Związku Ziem Wschodnich RP są m.in. następujące:

1. Pomoc Rodakom zamieszkującym Kresy i obszar dawnej Rosji Sowieckiej w zachowaniu swej tożsamości, oraz utrzymaniu polskości ziem utraconych.

2. Pomoc w sprowadzaniu Polaków z Kazachstanu.

3. Obrona dobrego imienia Polski i Polaków przed odradzającym się nacjonalizmem na Białorusi, Litwie, w Rosji i na Ukrainie.

Pięknym przykładem realizacji tych szczytnych, patriotycznych celów ZZW jest działalność Koła ZZW w Toronto, którego prezesem jest p. Władysław Dziemiańczuk. Od pięciu lat, w pierwszy czwartek każdego miesiąca, członkowie i sympatycy ZZW spotykają się w gościnnym Domu Stowarzyszenia Kombatantów Polskich — na imprezach kulturalno-towarzyskich, obchodach narodowych świąt i rocznic, z gośćmi z Polski, by omówić realizację inicjatyw Koła i przedyskutować nowe. W miejscowej „Gazecie” polonijnej koło ma własną kolumnę „Z życia Związku Ziem Wschodnich RP”, która ukazała się już trzynaste razy. Autorami informacji, relacji, wierszy, recenzji są prezes Koła p. Władysław Dziemiańczuk, sekretarz p. Henryk Wójcik i inni.

Z lektury jednego z numerów tej gazety, który dotarł do Wrocławia, dowiadujemy się, że podczas ubiegłorocznej kwesty we wrześniu pod kościołami

w Toronto — dzięki czynnemu w nich udziałowi duchowieństwa i parafian — członkowie Koła zebrali 4.907 dol. kanad. Dzięki pieniądзом z kwest, datków członków oraz ofiarodawcom (Jakub Wolan z Toronto przekazał 2 tys. dol. kan.) Koło wsparło finansowo odbudowę kościołów w Kowlu i Turczyńcu, kaplicy w Słonimiu na Wołyniu, oraz renowację cmentarzy polskich na Białorusi. Pomagają też szkołom polskim w Wołkowysku, Lidzie, Rydze i „Polskiej Macierzy Szkolnej” w Grodnie. Rodziny polskie we Lwowie i Tarnopolu otrzymały paczki żywnościowe, a drużyny harcerskie na Białorusi i w Rydze — mundurki. Łącznie na te cele Koło ZZW RP w Toronto przekazało w ub.r. 500 dolarów USA i 8.808 dol. kan. Dodatkowo przekazano do Seminarium Duchownego w Grodnie szaty liturgiczne — ornaty, alby, komże i stuły. Jak cenna jest ta pomoc, możemy powiedzieć my, którzy częściej bywamy na Wschodzie i wiemy, w jak trudnych warunkach odradza się tam polskość.

W ub.r. jesienią ZZW RP w Toronto, dzięki pomocy polonijnych artystów — p. Teresy Klimuszek, Anny Fecowicz, panów Wacława Bielawy, Adama Buraka i Jacka Janowskiego — zorganizował koncert zatytułowany „Obroncom Kresów”. Przypomniano losy Polaków w czasie dwóch okupacji sowieckich na Ziemiach Wschodnich RP, historię Lwowa, jego urodę, bogactwo i wierność. Koncert otworzyła piosenka lwowskiego barda, nieodżałowanego „Jurcia” — Jerzego Michotka „Wierne Madonny”, potem była wiązanka popularnych piosenek z „Wesołej Lwowskiej Fali”.

22 listopada ub.r. w 78. rocznicę Obrony Lwowa, odbył się w Toronto „Wieczór Lwowski”, upamiętniający tę rocznicę. Słowo wstępne wygłosił prezes Koła ZZWRP p. Wł. Dziemiańczuk, które było organizatorem wieczoru. W części artystycznej wystąpili wspomniani już wyżej artyści polonijni, do których dołączyła p. Stella Szustacek deklamując patriotyczne wiersze.

Przedstawiciele Koła Związku Ziem Wschodnich RP brali udział w walnym zjeździe Kongresu Polonii Kanadyjskiej, który się odbył w Montrealu w dniach 11-13 XI ub.r. Delegat Koła p. Zb. Dąbrowski w swym wystąpieniu na forum Zjazdu przedsta-

wił cele i działalność Związku, apelował do działaczy Kongresu i władz Polski, aby pamiętali o Polakach w Rosji. Zgłosił postulat, aby nowo wybrany Zarząd Główny Kongresu Polonii Kanadyjskiej wpływał i naciskał na rząd polski, aby ten umożliwił powrót do ojczyzny osobom, które zostały wywiezione w głąb Rosji sowieckiej oraz aby rząd polski udzielił najszerzej pomocy tym, którzy w Rosji pozostali.

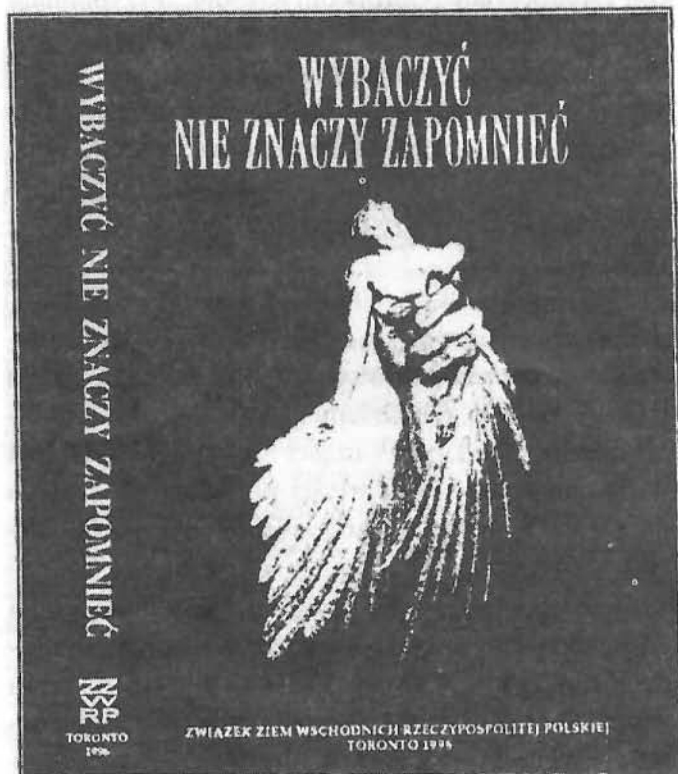
Z ogromnym uznaniem odnotować należy bardzo cenną publikację.

Na przełomie maja i czerwca 1996 r. ukazała się książka Związku, nad którą Prezes W. Dziemiańczuk pracował od kilku lat. „Wybaczyć nie znaczy zapom-



„Wieczór lwowski” 22 XI ubr. Toronto, Kanada, zorganizowany przez ZZW RP, w wykonaniu artystów — od lewej: pp. Anna Fecowicz, Adam Burak, Teresa Klimuszko, Stela Szustaczek, Jacek Janowski.

nieć” jest drugą publikacją z projektowanej przez Związek serii „Biblioteka Kresowa”. W. Dziemiańczuk zgromadził i opracował liczne dokumenty i relacje świadków, które mówią o tragicznych stosunkach polsko-ukraińskich na Wołyniu podczas II wojny światowej. Książka omawia powstanie i rozwój na tym terenie ukraińskich organizacji politycznych i wojskowych. Ukazuje powiązania nacjonalistycznych organizacji ukraińskich OUN-UPA z Niemcami, m.in. udział w Waffen SS Galizien i ich zbrodniczą działalność. W końcowym rozdziale cytowane są wypowiedzi potępiające zbrodnie ludobójstwa na Polakach przez ukraińskich nacjonalistów oraz wypowiedzi współczesnych ukraińskich polityków. Poza tym opracowanie to przedstawia szereg zagadnień związanych z Wołyniem, takich jak geografia i socjologia. Liczy 470 stron, liczne fotografie, mapy, reprodukcje dokumentów. Trwają zaawansowane prace nad anglojęzyczną wersją tej książki. Każdy kto interesuje się dziejami Kresów w czasie II wojny światowej powinien się z nią zapoznać. Bardzo pożyteczne byłoby wydanie książki prezesa Dziemiańczuka w Polsce.



Prawa mniejszości polskiej zagrożone

Prezes Stowarzyszenia „Wspólnota Polska” prof. dr hab. Andrzej Stelmachowski przedstawił na konferencji prasowej fakty łamania przez władze ukraińskie praw polskiej mniejszości narodowej na Ukrainie, szczególnie prawo do poznawania przez polskie dzieci i młodzież języka ojczystego. Minister oświaty Ukrainy nakazał, w związku z trudną sytuacją gospodarczą kraju, likwidowanie zajęć fakultatywnych i dodatkowych, a więc i zajęć z języka polskiego. Na Ukrainie w 88 szkołach język polski wykładany jest kilku tysiącom dzieci właśnie w trybie fakultatywnym, a jedynie w 3 szkołach — dwóch lwowskich i jednej w Mościskach — nauczanie odbywa się w języku ojczystym dzieci polskich. W br. wprowadzono na Ukrainie cło na import książek i czasopism, w tym także polskich książek i czasopism wysyłanych do szkół i towarzystw kulturalnych na Kresach. Brak jest od pół roku odpowiedzi w sprawie budowy za polskie pieniądze szkół w Mościskach z filią w Strzelczyskach i Dowbyszu. Prezes „Wspólnoty Polskiej” poruszył także sprawę zwrotu obiektów sakralnych.

Konferencję prof. Stelmachowskiego ambasada Ukrainy określiła „Burzą w szklance wody”, która nie polepszy stanu szkolnictwa polskiego na Ukrainie, ale może go pogorszyć”. Prezes „Wspólnoty Polskiej” ustosunkował się do tego i innych zarzutów radcy ambasady Ukrainy ds. politycznych Teodozija Staraka. Zainteresowanych odsyłamy do dodatków „Kresy” nr 147, 148 i 149 w „Słowie — Dzienniku Katolickim”.

Mimo zakazu porządkują

Zakaz prac na Cmentarzu Orląt we Lwowie, zablokowanie bramy wjazdowej na cmentarz, odcięcie dopływu wody od lata ub. roku, nie zniechęciły członków Polskiego Towarzystwa Opieki nad Grobami Wojskowymi do utrzymywania porządku i dalszego odtwarzania miejsca ostatniego spoczynku obrońców miasta „Semper Fidelis”. W ubiegłym roku odkopali i uporządkowali ziemne groby na 8 kwaterach. Od wiosny do jesieni odlano w podcieniach katakumb i ustawiono na mogiłach 97 żelbetonowych krzyży. Za obecną bramą cmentarną odkopano nagrobek Jerzego Leonarda Wróblewskiego, artylerzysty Obrony Lwowa, ustawiono na nim betonowy krzyż z tabliczką.

Usunięto ziemię i gruz z kwatery II i częściowo z kwatery Alei Zasłużonych. Na kwaterze I odkopano grobowce generałów: Tadeusza — Jordana Rozadowskiego i Jana Thulie.

Ponadto członkowie Towarzystwa ustawili w ub.r. 77 betonowych krzyży na kwaterze poległych Obrońców Lwowa na Cmentarzu Janowskim oraz sześciometrowej wysokości metalowy krzyż na cmentarzu w Busku, gdzie znajduje się kwatera żołnierzy polskich poległych w walkach z kawalerią Budionnego 1920 r. Stale utrzymywany jest porządek na polskich mogiłach w Zadwórze. W „Sygnałach Dnia: w programie I PR 18 marca br. premier Cimoszewicz powiedział, że zwrócił się do premiera Ukrainy — który wówczas jeszcze bawił z oficjalną wizytą w naszym kraju — z prośbą o pilne wyjaśnienie sprawy Cmentarza Orląt. Jak strona ukraińska ustosunkowuje się do tego? Czy złoży obietnice, a później wycofa się — jak po spotkaniu w Łańcucie — pod naciskiem nacjonalistycznych ugrupowań na Ukrainie?

Forum Nauczycieli Polskich na Ukrainie

W Chmielnickim odbyło się I Forum Związku Nauczycieli Polskich na Ukrainie. Związek ten został oficjalnie zarejestrowany w ukraińskim Ministerstwie Sprawiedliwości 21 października ub. roku. Na Forum dyskutowano o problemach nauczania języka polskiego na Ukrainie, jego programach, formach i metodach. W obradach wzięło udział 68 delegatów z całej Ukrainy oraz dwoje przedstawicieli „Wspólnoty Polskiej” z Warszawy.

Nie przyjechali, ani nie przysłali żadnego listu reprezentanci Ministerstwa Oświaty Ukrainy — pomimo oficjalnego zaproszenia i prośby organizatorów o objęcie honorowego patronatu nad I Forum. Nie przybyli też — z różnych powodów — przedstawiciele Ambasady RP w Kijowie oraz naszego Ministerstwa Edukacji Narodowej.

W tajnym głosowaniu prezesem Związku Nauczycieli Polskich na Ukrainie wybrano Julię Sierkową, kierującą Polskim Stowarzyszeniem Kulturalno-Oświatowym w Chmielnickim.

Zostaną uratowane?

XVII-wieczny zamek w Podhorcach, w którym mieści się szpital chorych na gruźlicę, znajduje się w fatalnym stanie. Miejska Rada Lwowska uznała, że warto uratować tę wspaniałą kiedyś siedzibę Konięcpolskich, Sobieskich, Rzewuskich i Sanguszków od niechybnej zagłady. Podjęła uchwałę o przeprowadzeniu gruntownego remontu tego wspaniałego zabytku. Po zakończeniu prac remontowych i wyposażeniowych zostaną do niego przeniesione zbiory, które się nie mieszczą w zamku w Olesku i zostanie urządzone muzeum. Oby stało się to jak najszybciej.

I druga dobra wiadomość — władze ukraińskie wyraziły zgodę na urządzenie muzeum J. Słowackiego w jego rodzinnym dworze w Krzemieńcu. Ten obiekt jest także w b. złym stanie, ale że mniejszy, łatwiej go uratować. Potrzebne są pieniądze, których nie ma działające w Krzemieńcu Towarzystwo Kultury Polskiej. Zwróciło się ono z prośbą o pomoc do Ministerstwa Kultury i Sztuki i z apelem do społeczeństwa polskiego.

Lwów w Tarnowie

W Tarnowie na falach katolickiego radia „Dobra Nowina” emitowana jest od października ub.r. stała audycja słowno-muzyczna „Ta joj, ta Lwów” — o mieście i jego niezapomnianych piosenkach. Audycję prowadzi red. Piotr Pawlina oraz lwowianin artysta muzyk Kazimierz Wesołowski.

Katyńska sesja naukowa

Niezależny Komitet Historyczny Badania Zbrodni Katyńskiej i Polska fundacja Katyńska zorganizowały w 57 rocznicę tej zbrodni sesję naukową. Otrzymała się ona w sali koncertowej Zamku Królewskiego w Warszawie 5 IV br. Otwarcia sesji dokonał p. Wojciech Ziemiński — inicjator i organizator budowy pomnika Zaginionym i Pomordowanym na Wschodzie, znany działacz niepodległościowy. Wśród referentów byli m.in. prof. dr hab. Jacek Trznadel, dr Bożena Łojek, mgr Andrzej Przewoźnik — Sekretarz generalny Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa.

Kresowe wystawy

W Muzeum Historycznym we Wrocławiu — oddział w Arsenale do końca marca otwarta była wystawa pt.

„Na nieludzkiej ziemi”. Ekspozycja prezentowała oryginalne pamiątki, dokumenty oraz fotografie wykonane w Warkucie przez Bernarda Grzywacza, Henryka Jasińskiego i St. Kiałkę — w opracowaniu Tomasza Kizny. Można było również obejrzeć modele pomnika ofiar Katynia we Wrocławiu, nadesłanych na konkurs ogłoszony przez Dolnośląską Rodzinę Katyńską.

W Muzeum Narodowym Ziemi Przemyskiej w Przemyśle otwarto 31 I br. wystawę poświęconą wielkiemu uczonemu prof. dr Rudolfowi Weiglowi, wynalazcy szczepionki przeciw durowi plamistemu. W tym roku mija właśnie 40. rocznica śmierci Profesora.

Na wystawę składają się eksponaty przekazane w darze Muzeum przez współpracowników prof. R. Weigla — część wyposażenia lwowskiej pracowni Profesora, odznaczenia nadane Mu w kraju i za granicą, fotografie rodzinne, karykatury Jęgo i współpracowników, grafiki Lwowa. Na otwarciu wystawy byli wśród gości także dawni pracownicy Instytutu we Lwowie, którzy podzielili się wspomnieniami o wielkim polskim uczonym i swojej pracy w Jęgo instytucji.

Lwowski witraż

Środowisko kresowe w Brzegu, z inspiracji p. Alicji Hewlich — członka zarządu miejscowego oddziału TMLiKPW, ofiarowało kościołowi św. Mikołaja w jednej z bocznych naw, kolorowy witraż o tematyce kresowej: podobiznę Matki Boskiej Łaskawej nad panoramą Lwowa oraz czterema herbami Ziemi Lwowskiej, Tarnopolskiej, Stanisławowskiej i Wołyń. Prace nad wykonaniem i założeniem witraża trwały dwa lata.

Zjazd Sprawozdawczo-Wyborczy Federacji Organizacji Kresowych

W Warszawie odbył się Zjazd Sprawozdawczo-Wyborczy FOK-u, na który przybyły delegacje towarzystw kresowych z całej Polski. Była również liczna delegacja reprezentująca Zarząd Główny TML i KPW z jej prezesem dr A. Kamińskim na czele. Wśród licznej grupy środowisk kresowych był m. in. sędzia Sądu Najwyższego RP mgr Bogusław Nizieński, byli prof. dr hab. Piotr Łossowski, prof. dr hab. Ryszard Szawłowski, z Towarzystwa Przyjaciół Wilna i Grodna dr Kazimierz Grabczyński, Zaolzian — dr Józef Staniek, ze Stowarzyszenia „Młode Kresy”

Robert Bodnar. Środowisko Żołnierzy AK Wileńskiego i Wołyńskiego, w tym słynną 27 Wołyńską Dywizję Piechoty, reprezentował wiceprzewodniczący ŚZZ AK Okręg Wołyń, — Andrzej Żupański. Obecni byli również kresowi kapłani — ks. płk. Antoni Szerwiński i ks. Janusz Popławski, zarazem członek ZG TML i KPW.

W żywej dyskusji po sprawozdaniu dotychczasowego Prezesa FOK-u St. Mitraszewskiego i wyborach władz (St. Mitraszewski wybrany został ponownie) do 7-osobowej Rady Naczelnej FOK wszedł pre-

zes ZG TML i KPW dr A. Kamiński, do Komisji Rewizyjnej FOK-u mgr Danuta Ta-
bińska-Juhasz, członek ZG
TML i KPW i dyrektor Fun-
dacji Kresowej „Semper Fi-
delis”, krytycznie wypowia-
dano się na temat polityki
wschodniej rządu RP i na
ogół jednostronnego prze-
strzegania praw mniejszości
narodowej w Polsce, bez
należytego egzekwowania
tych praw wobec naszych
Rodaków na Wschodzie.

Uczestnicy również bar-
dzo krytycznie ocenili dzia-
łalność Polskiego Stronnit-
wa Kresowego, zwłaszcza
jego władze naczelne, zwią-
zane kiedyś ideowo i partyj-
nie z minioną epoką, co zna-
lazło też wyraz w podjętych
uchwałach Rady Naczelnej
FOK w marcu br. Na ręce
prezesa FOK-u wpłynęło pis-
mo, które publikujemy obok.

Warszawa, dnia 13.03.1997 r.

Stanisław Mitraszewski
Przewodniczący
Federacji Organizacji Kresowych
ul. Andersena 2 m.29
01-911 Warszawa

Wielce Szanowny Panie Przewodniczący,
bardzo dziękuję za list dotyczący spraw, które stanowią wspólny przed-
miot zainteresowania Federacji Organizacji Kresowych i Ruchu Odbu-
dowy Polski. Nasze podstawowe dokumenty programowe oraz część
oświadczeń zawierają wszystkie poruszone przez Pana zagadnienia,
w szczególności:

- przywrócenie praw obywatelskich naszym Rodakom za granicą
- świadczenie im stałej pomocy
- dbałość o pamiątki i dobra kultury narodowej za granicą,
- gwarantowanie praw rdzennej ludności polskiej w krajach ościennych,
- reprivatyzacja i rekompensaty za odebrany majątek Polaków na te-
renach byłego ZSRR.

Wszystkie te problemy znajdą swoje odzwierciedlenie w nowym,
ostatecznym programie Ruchu Odbudowy Polski: chętnie widzieliby-
śmy przedstawicieli Federacji Organizacji Kresowych przy jej redago-
waniu.

Serdecznie Pana pozdrawiam i łączę wyrazy wysokiego szacunku

Przewodniczący
Ruchu Odbudowy Polski
/-/ Jan Olszewski

Listy do redakcji

W ostatnim numerze „Semper Fidelis” (nr 1/36/ 1997) przeczytałem na stronie 28 apel członków To-
warzystwa Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej, w sprawie powojennych wysiedleń Polaków i Niem-
ców.

Z mojego wieloletniego doświadczenia z Niem-
cami, wśród których mam wielu przyjaciół, wiem,
że sporo Niemców, w tym również z kręgów inteli-
gencji odczuwa do nas żal za powojenne wysiedle-
nia Niemców z Polski. Natomiast w moich kontak-
tach i nieraz dyskusjach na ten temat, rzadko spoty-
kam się z elementarną znajomością tego, co spotka-
ło Polaków zamieszkałych na terenach wschodnich
II Rzeczypospolitej. Świadomość tego, że Polacy też
zostali wypędzeni (używając wyrażenia popularne-
go w Niemczech) ze swoich domów, przeżyli co naj-
mniej to samo co Niemcy, jest w Niemczech prawie

zerowa. Może niektórzy tylko ludzie starszej ge-
neracji, którzy już świadomie przeżywali okres za-
kończenia wojny i przymusowych wysiedleń coś tam
wiedzą o wysiedleniach Polaków ze Wschodu, ale
bardzo niewiele. Niemieckie generacje powojenne
właściwie nie mają o tym pojęcia, ale za to dokład-
nie wiedzą, że Polacy przymusowo wysiedlali Niem-
ców. To wie każde dziecko niemieckie, które w szkole
uczy się historii.

Niestety — twierdzę, że jest to przede wszystkim
nasza, Polaków wina. Wina publicystów, pisarzy, his-
toryków i polityków.

Prawie nie mówi się o tym w ogóle, że Polska
jako jedyny kraj tzw. zwycięski po II wojnie świato-
wej w sumie straciła 76 tys. km kw. terytorium.

Mówiąc o przymusowych wysiedleniach nie na-
leży zapominać, że już na początku wojny (1939-

1940) decyzją władz hitlerowskich (nie kogoś trzeciego), w ciągu nieraz kilku godzin, w sposób barbarzyński, kazano Polakom wynosić się z polskich terenów przyłączonych do Reichu.

Ludzie, którzy przeżyli gehennę przesiedleń, stracili swoje małe ojczyzny, mają do tych spraw jednak stosunek emocjonalny, pomimo upływu 50 lat.

Należy o tych sprawach mówić głośno i rzetelnie, w większym stopniu uświadamiać naszych zachodnich sąsiadów o wypędzeniu Polaków ze Wscho-

du, bo inaczej powstanie tam historia jednostronna o skrzywdzonych przez Polaków Niemcach, bez pełnej wiedzy o wysiedleńcach, bez tzw. drugiej strony medalu.

Przy okazji: z przykrością przeczytałem informację Pani mgr Danuty Tabińskiej-Juhasz o kłopotach finansowych „SF”.

Może byśmy się wszyscy opodatkowali?

Michał Siera, Warszawa

Niestety muszę rozczarować p. Mieczysława Grzybowskiego, który pisał o pomniku marszałka Józefa Piłsudskiego w Tarnopolu — i którym kończy swój list twierdzeniem, że był to pierwszy pomnik Marszałka wzniesiony w Kraju za Jego życia..

W rzeczywistości, pierwszy pomnik był odkryty i poświęcony w Kołomyi w 1930 roku. Wydarzeniem, pozostającym mi w pamięci również dlatego, że Prezydenta RP (Ignacego Mościckiego) reprezentował Jego adiutant — oficer marynarki. Dla sześciolatniego chłopca mundur marynarski — niecodzienny widok w Kołomyi — był rzeczą wartą zapamiętania.

Przed kilku miesiącami widziałem pocztówki z widokami Kołomyi, wydane w latach osiemdziesiątych. Na jednej z nich, dokładnie na miejscu, gdzie kiedyś stał pomnik Marszałka, znajdował się pomnik Lenina (obecnie T. Szewczenki).

Jest oczywiście rzeczą znamionną, że to właśnie miasta kresowe pierwsze oddawały hołd Marszałkowi.

dr Tadeusz Błażyński, Wetherby, Anglia.

Jestem najmłodszą uczestniczką zespołu, propagującego imię Orłąt Lwowskich na patrona Szkoły Podstawowej nr 13 w Wielgowie, założonego w 1989 roku przez panią Władysławę Grzybowską.

Dwa przepiękne programy słowno-muzyczne wystawiliśmy wielokrotnie. Wszędzie nagradzano nas licznymi oklaskami. Byliśmy dumni ze swoich osiągnięć, jednak naszym największym marzeniem było zaakceptowanie imienia Orłąt Lwowskich na patrona naszej szkoły.

I rzeczywiście, w wyniku referendum przeprowadzonego w maju 1990 roku, szkoła postanowiła nadać je. Datę wyznaczono na 21 XI 1991 r. Niestety, tegoż roku prace nad patronem zostały przerwane. Dopiero po pięciu latach, dzięki staraniom pani Elżbiety Jarmusz, 30 XI 1996 roku szkoła otrzymała upragnione imię. W końcu Orłęta zwyciężyły. W naszych sercach pojawiło się uczucie prawdziwej satysfakcji.

Jesteśmy wdzięczni pani Władysławie Grzybowskiej, ks. Jackowi Kochańskiemu, państwu Elżbiecie i Maciejowi Jarmusz — za włożony trud.

Cieszymy się, że pozostanie po nas pamiątka na całe życie, a dzieci i młodzież mają piękne cechy do naśladowania.

Agnieszka Adamska ze Szczecina.

Apele

Wrocławski zespół byłych pracowników prof. Rudolfa Weigla Instytutu Badań nad Tyfusem Plamistym we Lwowie w składzie:

Prof. dr hab. Tomasz Cieszyński, prof. dr hab. Edward Zubik, płk doc. dr hab. Wacław Ogielski, doc. dr hab. Jerzy Chodorowski, płk lek. Stefan Swaton, inż. Tadeusz Kardasz,

zwraca się z prośbą przede wszystkim do „Weiglowców”, którzy dzięki Profesorowi przeżyli kolejne okresy okupacji Lwowa II wojny światowej oraz wszystkich tych,

którym znane są osiągnięcia Rudolfa Weigla w nauce światowej, a także w działalności patriotyczno-humanitarnej okresu niemieckiej okupacji,

— o finansowe wsparcie na rzecz funduszu Rudolfa Weigla w celu zaprojektowania i wykonania pomnika Profesora przy ulicy Rudolfa Weigla we Wrocławiu;

— zaprojektowania i wykonania tablic upamiętniających Rudolfa Weigla w miejscach Jego działalności;

— wydanie książki poświęconej pamięci polskiego uczonego.

Zwracamy się z prośbą o pomoc w zebraniu materiałów o osobie księdza Michała Białowasa, urodzonego w Obydowie pow. Kamionka Strumiłowa w 1894 roku, wikarego w Żółkwi i Trembowli, doktora socjologii, katechety gimnazjalnego w Gródku Jagiellońskim i VII gimnazjum we Lwowie, od 1943 r. proboszcza w Kołomyi. W latach 1946-1953 oraz w latach 1957-1965 był dziekanem w Nowej Rudzie. Jako mieszkańcy parafii św. Mikołaja w Nowej Rudzie pragniemy uczcić pamięć tak zasłużonego dla naszego miasta kapłana przygotowaniem w miarę kompletnego życiorysu. Chodzi nam o informacje o publikacjach dotyczących księdza Michała Białowasa lub kontakt z osobami, które go znały.

Stowarzyszenie Rodzin Katolickich

Koło przy parafii św. Mikołaja

57-400 Nowa Ruda

ul. Kościelna 11

(Od red. Wysłaliśmy już na ręce Prezesa Koła informacje, gdzie znajdują się wiadomości dotyczące tego kapłana. Są to prace ks. Szetelnickiego „Trembowla. Kresowy bastion wiary i polskości” Wrocław 1992 oraz „Życie religijne w Polsce pod okupacją 1939-1945” pod red. ks. Z. Zielińskiego, Katowice 1992. Może nasi czytelnicy będą wiedzieć o innych publikacjach).

W związku z przygotowywaną przeze mnie pracą doktorską nt. „Generał brygady Witold Dzierżykraj — Morawski 1895-1944” poszukuję osób, które miały z nim kontakt z czasów jego służby we Lwowie. W. Morawski jako pułkownik dyplomowany od marca 1937 r. do lipca 1939 r. był I oficerem sztabu Inspektoratu Armii Lwów na czele którego stał gen. K. Fabrycy. W tym okresie kwaterował w hotelu George’a, a potem na ulicy Ujejskiego 4 m 1. Utrzymywał kontakty ze sferami arystokratycznymi oraz rodzinami oficerów. Często brał udział w polowaniach na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej. Był właścicielem majątku ziemskiego w Oporowie koło

Leszna w Poznańskim.

W 1939 r. walczył w kampanii wrześniowej jako szef sztabu armii „Karpaty”. Niewolę niemiecką spędził w obozach jenieckich na Pomorzu Zachodnim (Woldenberg, Arnswalde i Gross-Born). Za udział w konspiracji obozowej został przez Niemców zamordowany w obozie koncentracyjnym Mauthausen.

Pośmiertnie awansowany na generała brygady.

Może ktoś go pamięta także z walk we wrześniu 1939 r. oraz pobytu w obozach jenieckich.

Wszelkie informacje proszę kierować na adres: **Andrzej Jaracz**, 75-452 Koszalin, ul. Jana Pawła II 19 m. 49, tel. (0-94) 412-455.

Zwracam się z gorącym apelem do dawnych mieszkańców Wołynia, wszystkich ludzi dobrej woli w Polsce i za granicą o pomoc finansową w budowie kościoła w **Torczynie na Wołyniu — miasteczku leżącym nieopodal Łucka** (dziś Ukraina).

Starsi Wołyniacy wywodzący się z tych stron pamiętają piękny drewniany kościółek p.w. św. Jana Chrzciela, stojący w cieniu lip, który spłonął podczas wojny. Wydawało się, że czas zniszczył w ludziach Boga i religię. Tymczasem dzieje się cud — oto znowu odrodziła się parafia w Torczynie, ale msze święte i sakramenty prawowane są w prywatnym mieszkaniu, co jest bardzo trudne i kłopotliwe. Dlatego przystąpiliśmy do budowy kościoła. Moi parafianie to głównie ludzie w starszym wieku i dzieci. Ich sytuacja materialna i życiowa jest wręcz tragiczna — ubóstwo i niedostatek są tu widoczne na co dzień, wielu brakuje podstawowych środków do

życia, gdyż nie otrzymują wynagrodzeń za pracę z zakładów pracy.

Kościół jest dla nich pociechą i bardzo pragną, aby on już mógł im służyć, o którym wcześniej nawet nie marzyli, że dożyją tej chwili.

Szereg parafian Torczyna to Polacy — rdzenni i napływowi, dla których kościół jest możliwością spotkania się po kilkudziesięciu latach z polskim słowem, pieśnią i polską kulturą, gdyż mimo prześladowań i represji zdołali w głębi serca zachować ślady ojczywej tradycji, dzięki czemu mogą już bez obaw przyznawać się do swych związków z Macierzą.

Ks. mgr Marek Gmitrzuk

Pomoc Kościołom Wołynia — Torczyn

BDK, Oddział w Chełmie

konto dewizowe 10701122-96074-152-1787,

konto złotówkowe 10701122-96061-170-4

POSZUKIWANIA

Mój ojciec chrzestny **Lambert Kaczmarek** ur. 14.01.1911 w Mogilnie, zaginął w bydgoskim więzieniu Gestapo w roku 1945 na krótko przed wyzwoleniem. Pomimo wielu starań nie udało mi się ustalić wielu momentów w jego życiu. W rodzinnych pamiątkach znajduje się fotografia z czasów służby czynnej, którą odbywał w 23 Pułku Ułanów Grodzieńskich w Podbrodziu w okresie od 29.10.1932 r. do 17.09.1934. Chciałbym za pośrednictwem „Semper Fidelis” trafić na ślad kogoś z żołnierzy wspomnianego pułku, który być może pamiętają Lamberta z czasów, kiedy spotkali się w wojsku”.

Proszę o kontakt pod adresem:

Alojzy Michalski,
85-137 Bydgoszcz,
ul. Króla Leszczyńskiego 111/40.

Poszukuję wszelkich wiadomości o moim ojcu **Kazimierzu Tkaczyku** ur. 7.1922 r. we Lwowie. W wieku 17 był wywieziony gdzieś w głąb ZSRR dotarł do tworzącej się armii gen. Andersa. Miał siostrę Bronisławę Tkaczyk ur. w 1918 roku.

O wiadomości prosi
Halina Rzeszowska
49-300 Brzeg
ul. Krzywa 8/4, tel. 16-50-35

† Z żałobnej karty

2 stycznia br. odprowadziliśmy na wieczny spoczynek panią

Salomeę Koszutską,

prezesa naszego kłódzkiego Oddziału TML i KPW, urodzoną 28.VIII.1920 roku we Lwowie. Żegnali ją z głębokim żalem nie tylko lwowianie, ale młodzież, którą uczyła języka polskiego w Liceum Ogólnokształcącym i kłódzki świat kultury, którego była godną reprezentantką. Publikowała swoją piękną prozę w miesięczniku „Ziemia Kłódzka” i w innych regionalnych wydawnictwach. Z niespożytą energią działała w naszym Towarzystwie. Będzie jej nam bardzo brakowało. Cześć Jej Pamięci.

Marian Stopiński
wiceprezes Kłódzkiego Oddz. TML i KPW



10 maja br. obchodzimy WSZYSCY kolejną, piątą rocznicę śmierci

Andrzeja Waligórskiego.

Twórcę wszystkim znanego DREPTAKA, kabaretu ELITA, STUDIA 202, satyryka i redaktora Rozgłośni Polskiego Radia we Wrocławiu — i nigdy też nie zapomnianego LWOWIAKA, gdzie pierwsze wierszyki tworzył będąc uczniem polskiej Szkoły Handlowej — Lwów, ul. Skarbkowska 17, w latach 1942-1943.
przypomina: M. Rogalski

Najgłębsze wyrazy współczucia hr. Wojciechowi Dzieduszyckiemu, Członkowi Honorowemu TML i KPW z powodu śmierci syna — Antoniego

składa Zarząd Główny TML i KPW

CONTENTS

p. 1 — Andrzej Kamiński	Renewal of Prof. Marian Garlicki's doctor of medicine diploma after 50 years.
p. 2 — Jerzy Masior	The spring in Lwów.
p. 4 — Danuta Nespiak	On the murders by UPA (the "Ukrainian Insurgent Army") — if squaring up, let it be comprehensive!
p. 4 — Bronisław Stojanowski	A letter to the President of the Polish Republic on the murders by UPA.
p. 5 — Tadeusz M. Trajdos	On the murders by UPA — no punishment, no compensation.
p. 7 — Danuta Nespiak, Zdzisław Ojrzynski	Crooked Themis' scales — for a comprehensive squaring up of the "Vistula action".
p. 11 — Eugeniusz Tuzów-Lubański	On nationalistic atmosphere in Kiev — to live for killing.
p. 12 — rev. Józef Wolczański	To the rescue of the Łyczakowski Cemetery.
p. 14 — Tomasz Cieszyński	On Prof. J. Parnas against the background of Lwów in the years 1939-1945.
p. 21 — Zbigniew Nowak	The School for State Police Privates at Mosty Wielkie.
p. 24 — Zofia Wacek-Iwanicka	Prof. Rudolf Wacek — educator, sportsman, journalist.
p. 26 — M. Rogalski	The church at Buczacz.
p. 27 — Jarosław Leszczyński	The church at Podhorce.
p. 28	People of the Lwów Home Army.
p. 29 — Janina Hrycekowa	Borderland priests — rev. M. Stanoszek, the parish-priest at Przemyślany.
p. 30 — Kazimierz Wesołowski	Patron of Lwów. B. John of Dukla.
p. 31 — Leszek Mulka	Lwów and South-East Borderland Lovers Society Club at Oleśnica.
p. 31 — Adam Lewicki	Justice has triumphed.
p. 32 — Zbigniew Umański	Yesterday, today, tomorrow. A Borderland diary.
p. 36	Report-electoral Meeting of the Borderland Organizations Federation.
p. 37	Letters to the Editors.
p. 38	Appeals.
p. 40	Search for lost persons.
p. 40	Obituary column.

Lista Ofiarodawców

w miesiącach I-II 1997 r.

1. Jerzy Fic, Sosnowiec	18	23. Edward Piotrowicz, Wrocław	20,00
2. Józef Nycz, Toronto, Kanada	150 + 100 dol. kan.	24. Janina Blum, Wrocław	10,00
(odbudowa cmentarza Orląt)		25. Maria Tabińska, Kraków	20,00
3. Roman Makarewicz, Kilanea, Hawaje	50 dol. USA	26. Zbigniew Lechowski, Wschowa	3,00
4. Henryk Ostrowski, Namysłów	3,50	27. Władysław Hapoński, Lublin	220,00
5. Władysław Klimek, Bielsko-Biała	7,00	28. I. T. Ann Arbor, USA	100 dol USA
6. Andrzej Hanuszkiewicz, Pyskowice	40,00	29. J. R. Chrzastowscy, Katowice	20,00
7. TML i KPW, Tarnów	100,00	30. Krystyna Rucińska, Orleans, Francja	220,00
8. Jerzy Wolańczyk, Rokitnica	50,00	31. Maria Pajęczyńska, Kołobrzeg	18,00
na „Gwiazdkę”		32. ks. Tadeusz Wojciechowski, Kraków	22,00
9. Józef Bieńsko, Stalowa Wola	30,00	33. Stanisław Mossoczy, Bielsko-Biała	20,00
10. Jacek Miliński, Łódź	15,00	34. Włodzimierz Tomyn, Warszawa	40,00
(odbudowa cmentarza Orląt)		35. TML i KPW Nowy Sącz	200,00
11. Adam Pobóg Spolski, Gliwice	10,00	36. Stanisław Goc, Rogoźno Wlkp.	10,00
12. Bolesław Czerwiński, Piastów	20,00	37. TML i KPW Łódź	100,00
13. Maria Jońca, Gliwice	50,00	38. TML i KPW klub Świdwin	25,00
14. Michał Siera, Warszawa	50,00	(na pomoc Wielkanocną)	
15. Tadeusz Świątnicki, Przemyśl	30,00	39. M. Trojanowska, Tarnobrzeg	16,00
16. Edward Adles, Kraków	10,00	40. W. A. Podolecy, Kielce	20,00
17. Stanisław Tarnawski, Poznań	18,00	41. Bronisław Suchecki, Wrocław	10,00
18. Władysław Nowicki, Korzuchów	8,00	42. Mieczysław Pollak, Londyn, Anglia	10 funtów
19. Anna Jasińska, Poznań	18,00	43. Tomasz Zabiega, Kristy Drive, USA	200,00
20. Zbigniew Kubas, Brzozów	18,00	44. J. J. Starzecy, Wrocław	20,00
21. Bronisław Ostowski, Wrocław	20,00	45. Maria Żurawska-Gangi, Toruń	10,00
(odbudowa Cmentarza Łyczakowskiego)		46. Antoni Żebracki, Olsztyn	5 franków szwajc.
22. Jan Błaszczuk, Wrocław	18,00		

Wszystkim Szanownym Ofiarodawcom składamy serdeczne podziękowania.

Od Wydawcy

Drodzy Czytelnicy!

Od apelu zamieszczonego w ostatnim numerze „Semper Fidelis”, wzywającego o wsparcie funduszu wydawniczego naszego dwumiesięcznika, upłynęło dwa miesiące. Niestety sytuacja pod tym względem niewiele się zmieniła. Zgłoszono dwie księgarnie w Grudziądzu i Katowicach chętne do współpracy z nami. Były też listy wyrażające oburzenie, że nasze Oddziały i Kluby TML i KPW zalegają z płatnościami. Tylko niektóre zadłużenia zostały uregulowane, co pozwoliło na wydanie obecnego numeru „Semper Fidelis”. Niestety na skutek tych okoliczności nie mogą wiążąco zapewnić Państwa czy będziemy mogli wydać następny numer. Przykre to jest tym bardziej, że nadchodzący czas przyniesie wydarzenia tak ważne jak wybory nowego parlamentu z którym wiążemy pewne nadzieje odnoszące się do spraw naszych Rodaków na Wschodzie i wówczas może zabraknąć nam łamów naszego pisma.

Pragnę jeszcze raz podkreślić, że cała redakcja pracuje społecznie, nie honorowani finansowo są również autorzy zamieszczonych w „Semper Fidelis” artykułów. Ponosimy jedynie koszty składu komputerowego, druku, obsługi kolportażu i porta pocztowego, które ostatnio zdrożało. Na wydanie jednego numeru o nakładzie 3 tys. egzemplarzy potrzeba nam 4.500 zł.

Nigdy „Semper Fidelis” — czasopismo o profilu historyczno-społecznym — nie otrzymał żadnej dotacji, mimo podjętych starań w tej sprawie, nie mówiąc już, że bez odpowiedzi pozostawały nasze pisma.

Zainteresowanym dziejami Polaków na Wołyniu w okresie okupacyjnym, obejmującym lata 1939-44 informujemy, że do nabycia w Fundacji Kresowej Semper Fidelis jest książka autorstwa Karola Koska pt. „Od wyzwolicieli zachowaj nas Panie”. Prosimy o zamawianie tej interesującej pozycji — cena 10 zł + porto pocztowe.

Wszystkim Czytelnikom, którzy odpowiedzieli na nasz apel wpłacając nawet najmniejsze sumy składamy najserdeczniejsze podziękowania. Tym, którzy by nam chcieli pomóc, podajemy nasz numer konta bankowego: **PKO BP IV O/Wrocław nr 10205255-10012-270-1-111**

Dyrektor Fundacji Kresowej Semper Fidelis
mgr Danuta Tabińska-Juhasz